Nr. 13
26 MARCA 1939 R.
CENA 40 GROSZY

AS



DWA UŚMIECHY

Bliźniaczki ekranu: Rosemary i Priscilla Lane.

Pasażerowie na gapę

MIECZYSŁAW ZYDLER

SZKIC Z ŻYCIA NA MORZU

★

„Na statku „Cieszyn" nazajutrz po opuszczeniu portu w Gdyni znaleziono w bunkrach[1] *20-letniego Jana Nowaka, mieszkańca Częstochowy, który w ten nielegalny sposób zamierzał wyjechać za granicę. Po powrocie do kraju niefortunnego podróżnika osadzono w areszcie a sprawę jego przekazano sądom".*

Takie lub podobne wzmianki wydrukowane drobnemi czcionkami pod tytułem: „Pasażer na gapę" spotykamy w gazetach prawie codziennie. Zwięzłe te słowa zawierają czasami wiele treści. Co pędzi tych ludzi precz z ojczyzny?... Bieda?... Poszukiwanie pracy?... Zapewne, tak bywa często, ale bynajmniej nie zawsze. Bodźcem, który każe im odbyć ryzykowną jazdę do Gdyni na dwuosiowym wózku pullmanowskiego wagonu, aby zkolei przemycić się na pokład statku i ukryć w szalupie ratunkowej lub w węglu, jest przedewszystkiem głód wrażeń.

„Być gdzieindziej" — oto dwa słowa, któremi można objąć ów przemożny pęd. Asfalty Gdyni szlifuje wielu wyjadaczy, którzy w podobnie bezczelny sposób odwiedzili wiele portów, nieraz bardzo dalekich, zaznali przygód godnych pióra Jacka Londona, jak również poniewierki łazika, który uważa, że „praca wprawdzie nie hańbi, ale napewno nie uszlachetnia". Po długiej tułaczce dochodzą do przekonania, że w Polsce jest wcale dobrze, bo przynajmniej człowiek z głodu nie umrze. Myślą naturalnie o takim człowieku, który ma na karku głowę a nie „jatkę z końskiem mięsem". Szpetnemi, dosadnemi słowami zaklinają się, że już nigdy nie wyruszą na obczyznę szukać urojonych „kokosów". Powiadają, że walka o byt jest tam znacznie ostrzejsza i bezwzględniejsza niż u nas. Czy słowa dotrzymują, to już inna sprawa. „Być gdzieindziej" — niezrozumiałe dla osiedziałego mieszczucha, który nadewszystko ceni sobie miły spokój, każe im często zapominać o niedawnych zaklęciach. Niech tylko w Gdyni rozejdzie się wieść, że wkrótce wyjdzie na morze statek z przeznaczeniem do jakiegoś dalekiego portu, nęcącego więcej od innych swoją obcą nazwą, a wyga taki bez żalu porzuca ciasną, na pół wkopaną w ziemię budę na przedmieściu, żegna ukochaną mniej lub więcej dobitnie, zalecając jej wierność i postanawia raz jeszcze popłynąć. Singapore, Ceptown, Pernambuko... — to tak wspaniale brzmi... Tam go jeszcze nie widziano!... A że ma już nielada doświadczenie, nabyte kosztem brakujących zębów, więc urzeczywistnienie tego postanowienia nie przedstawia dla niego poważniejszych trudności. Dostaje się na pokład przy pomocy środków, których jednak nie chcę tu reklamować i zawsze w ostatniej chwili przed wyjściem statku, co pozwala mu skrócić przykry okres przebywania w ciasnej i niewygodnej kryjówce. Załodze pokazuje się dopiero wtedy, kiedy statek jest już daleko. Przybłędy niepodobna przecież wyrzucić za burtę!... Kapitan jest wprawdzie wściekły i przez pewien czas „daje szkołę" odpowiedzialnemu za to oficerowi, ten z kolei wyładowuje swój zły humor na bosmanie, bosman — na załodze, ale morderców wśród nich niema, do morza człowieka nie wrzucą i nasz wyga prosperuje, czasami nawet niezgorzej, aż do chwili, kiedy po przyjściu statku do portu przeznaczenia, skorzysta z zamętu i wydostanie się na ląd.

Krążą wprawdzie wśród „blindów" — tak bowiem nazywają się w gwarze portowej owi bezpłatni pasażerowie — potworne wieści. Zdarzało się podobno, że rozwścieczony kapitan kazał rzucać włóczęgę w morze i płynąć dalej wyznaczonym kursem, jakgdyby nigdy nic. Z mocnem zaciśnięciem szczęk, 'tudzież pięści w kieszeniach podartych spodni, 'wymieniają trampy[2] gdyńskie nazwiska, a raczej przezwiska tych, którzy mieli jakoby zginąć podobną śmiercią. Są to jednak fakty niesprawdzone, bo i do sprawdzenia prawie niemożliwe. Zresztą żadnego rasowego „blindy" od podróży nie odstraszą, tak jak Czytelnika nie odstraszy z pewnością od jazdy pociągiem wiadomość, że przed kilku dniami wypadł z pędzącego expressu „Paryż—Niegorełoje" jakiś pasażer i poniósł śmierć na miejscu. Zwyczajne ryzyko podróży, nieuniknione dla każdego, kto nie chce kamieniem siedzieć w domu, „groch łuszczyć lub nitki ze starych bławatów wyciągać"...

W zasadzie taki odnaleziony na statku pasażer na gapę (czasami jest ich kilku a nawet kilkunastu, jak to się zdarzyło niedawno na „Pułaskim") doznaje przyjęcia bardzo brutalnego. Nie zawsze też kończy się na zbesztaniu przez kapitana i bosmana, czemu taki wyga przysłuchuje się z obłudną pokorą, licząc w duchu do 100 i z powrotem. Nie zawsze też dadzą mu potem jeść, na co chciwie czeka, a jedzenie „odpracować", czego już mniej łakomie wygląda. Czasami bywa inaczej. Osobiście spotkałem się z wypadkiem, który poruszył mnie głębiej od innych podobnych. Być może dlatego, że jego bohaterem był nie kuty na wszystkie cztery kończyny łazęga portowy, lecz wrażliwy jak pensjonarka, młody sztubak z piątej klasy gimnazjum. Porwany jak wielu jego rówieśników entuzjazmem do morza, zapragnął swoje plany urzeczywistnić za wszelką cenę. Postawił na swojem i nawet po latach miał zostać oficerem marynarki handlowej, ale wówczas omal życiem nie przypłacił swojego nierozważnego kroku.

Młokosowi temu udało się późną nocą wśliznąć w porcie gdańskim na statek, który upatrzył sobie uprzednio za dnia, nie przypuszczając, że nie wypłynie on tak zaraz na morze. Narazie schował się w szalupie ratunkowej, ale że mu zimno dokuczyło, więc przeniósł się do kotłowni, gdzie w węglu wygrzebał sobie kryjówkę. Jedzenia miał ze sobą tylko na jedną dobę, o wodzie zupełnie nie pamiętał. Tymczasem statek jeszcze przez 3 dni ładował węgiel. Chłopak z pragnienia i głodu przechodził prawdziwe męki. Był jednak nieprzeciętnie ambitny i zawziął się, że nie wyjdzie na pokład przed czasem, chociażby nawet miał to życiem przypłacić. Czy było to postanowienie rozsądne?... „Prawdziwy mężczyzna nigdy nie powinien cofać się z obranej drogi" — powiedział ten 14-letni „mąż", kiedy zwrócono mu później uwagę na szaleństwo takiego postępowania.

Bliski zgonu doczekał się wreszcie wypłynięcia statku. Kiedy zaś wyliczył sobie w zgorączkowanym mózgu, że muszą już być daleko, zapewne już na Morzu Północnem, niezauważony przez palaczy wydostał się na pokład. Jednakże kapitan, który w związku z „blindami" miał niedawno poważne nieporozumienia z władzami, na widok nieproszonego gościa wpadł w prawdziwy szał. Zbiegł szybko z mostka, wypluł raz i drugi jakieś niezrozumiałe pytanie, wreszcie wprawnym „sierpowym" posłał chłopca na deski. Mały przybłęda jednak przytomności nie stracił. Przed chwilą umierał z wycieńczenia, ale teraz zamiast uderzyć w pokorę, „wziął na ambit" i rzucił się na swojego prześladowcę, aby pomścić zniewagę. Było to prawdziwe starcie Dawida z Goliatem, tylko że z innym niż w Piśmie Świętem zakończeniem. Rozjuszony bowiem kapitan ścisnął „blindę" za gardło jak kurczaka i potężnym zamachem ramienia i torsu wyrzucił za burtę.

Statek szedł dalej, ale oficer, widząc co się święci, na własną odpowiedzialność kazał rzucić koło ratunkowe i spuścić szalupę. Chłopca wyłowiono, wciągnięto za włosy do łodzi i powiosłowano ku odległemu o parę mil morskich lądowi. Paręset metrów przed brzegiem zepchnięto go po raz drugi do wody i szalupa czemprędzej zawróciła w stronę statku.

Młody włóczęga wbrew prawdopodobieństwu ocalał. Dzisiaj umiejętnie pokierowany, po skończeniu Szkoły Morskiej, pływa jako II oficer na jednym z naszych statków żeglugi nieregularnej. Przecież powiedział, że „prawdziwy mężczyzna nigdy nie powinien cofać się z obranej drogi"... Ale gazety o jego przygodzie nie pisały. Tak, jak nie piszą o podobnych mu amatorach bezpłatnej podróży, którym jednak do brzegu dotrzeć się nie udało.

---

[1] Bunkier — węgiel pędny, stosowany do palenia pod kotłami parowca.

[2] Tramp — (z angielskiego) — włóczęga, również statek żeglugi nieregularnej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 13 — **Niedziela, 26 marca 1939** — **Rok V**

ASY NUMERU 13-GO:



Nieomal w przeddzień imienin Marszałka Piłsudskiego, które przypominają nam co rok historyczną Jego rolę w naszych dziejach i w przeddzień imienin następcy Wodza, Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, wypadki polityczne spowodowały powstanie wspólnej granicy polsko-węgierskiej, co wywołało w Polsce i na Węgrzech stukrotne echo, nie mówiąc już o entuzjaźmie ludności obszarów nadgranicznych po stronie węgierskiej i polskiej. Zwłaszcza w pamięci młodzieży pozostanie ten fakt żywym na całe życie. Na naszem zdjęciu widzimy dzieci z terytorjum granicznego oczekujące przybycia wojsk węgierskich do granicy polskiej. *Fot. „AS"*

Poniżej: Teatr Narodowy w Zagrzebiu.





Portret Stanisława Drabika

Poniżej: Opera królewska w Belgradzie.



Inscenizacje Stanisława Drabika w Jugosławji



Dekoracja do III aktu „Halki" Moniuszki, wystawionej przez operę w Belgradzie w r. 1933 — projekt: Staša Beložanski.



St. Drabik w roli Jontka na występach w Jugosławii (kostjum ofiarowany przez zarząd uzdrowiska Zakopane).

Na prawo: Fragment „Halki" na scenie Teatru Narodowego w Zagrzebiu (akt III).



Stanisław Drabik należy do grona naszych artystów, którym przypadła w udziale zaszczytna misja propagowania sztuki polskiej poza granicami kraju. Śpiewak o dużej kulturze, odznaczający się pełnią zamiłowania do swego artystycznego zawodu, przez lata całe przebijający się przez gąszcz uprzedzeń i nieufności, na jakie napotyka niemal każdy artysta w kraju, dociera tu Drabik wkońcu do „cichej przystani"; jest nią wytworzenie się sprzyjających warunków pracy dla niego na scenach polskich teatrów operowych, do czego rzecz prosta, przyczynia się w dużej mierze i sława, jaką zdobywa artysta na występach zagranicą.

Jugosławja jest tym terenem, na którym Drabik uzyskuje poważne sukcesy nietylko jako śpiewak. Jego dążenia krystalizują się tam bowiem i emanują w kierunku najbardziej szlachetnego pojmowania artystycznego posłannictwa, jakiem staje się zainicjowanie i doprowadzenie do skutku wystawienia dwóch polskich dzieł operowych: „Halki" Moniuszki i „Casanovy" Różyckiego w Belgradzie i Zagrzebiu. Na tym odcinku pracy osiąga Drabik rezultaty, które stawiają go niewątpliwie w pierwszym szeregu naszych inscenizatorów w dziale przedstawień operowych.

Ale zanim przystąpimy do omówienia wyników tej pracy, dobrze będzie zapoznać Czytelników ze szczegółami przygotowań oraz etapami karjery artysty na scenach teatrów jugosłowiańskich. Wiele ciekawych danych przynoszą tu artykuły i recenzje tamtejszej prasy. Z nich dowiadujemy się, że Drabik zawitał po raz pierwszy w r. 1931 do Belgradu i śpiewał w operze królewskiej dwie swoje popisowe partje: Cavaradossiego w „Tosce" i Cania w „Pajacach". Po tych występach miał już w kieszeni kontrakt na pierwszego tenora opery belgradzkiej. Fachowa krytyka i jugosłowiańskie koła muzyczne uznały w naszym artyście śpiewaka o rozległym talencie i dużej kulturze, a fakt pozyskania go na stałe występy przyjęły ze szczerem uznaniem („Pravda", „Politika", „Nedelja", „Vreme", „Vecernji List", „Svijet", „Vecer", „Novosti" i in.). W ten sposób droga do zdobycia na terenie Jugosławji wybitnego stanowiska w tamtejszym świecie artystycznym stanęła dla Drabika otworem.

Podpisując kontrakt z operą królewską w Belgradzie, zastrzegł sobie artysta wystawienie w najbliższym czasie dzieł polskich kompozytorów, co zostało przychylnie przyjęte przez dyrektorów teatru Milana Predića i Stefana Hristića, sławnego kompozytora. W niedługi czas potem zapadła decyzja skomunikowania się z Ludomirem Różyckim i uzyskania od niego materjału nutowego i tekstowego do „Casanovy". Drabikowi powierzono inscenizację, a tłumaczeniem tekstu zajął się dawny dyrektor opery St. Binićki. Oto co opowiada Drabik na temat przygotowań do wystawienia w Jugosławji pierwszej polskiej opery:

— „Przystępując do opracowania inscenizacji „Casanovy", kierowałem się doświadczeniem, jakie uzyskano w kraju z okazji wystawienia tego dzieła. Chodziło mi przytem o możliwie wierne oddanie polskiego charakteru poszczególnych scen opery i tu natrafiłem na trudności, zrozumiałe ze względu na obcy teren pracy. Po licznych konferencjach z malarzem-dekoratorem teatru Żedryńskim ustaliliśmy wspólnie ramy, w których miała odżyć historja wielkiego donżuana. Projekty kostjumów powierzyłem malarce Babić; choreografję objęła primabalerina opery Nina Kirsanova, znana z występów w Polsce. Stroną muzyczną kierował osobiście dyr. Hristić przy udziale kompozytora, który zjechał na premjerę i czuwał nad końcowemi próbami. Prócz inscenizacji i reżyserji praca moja nie ograniczyła się do wykonania tytułowej partji. Musiałem bowiem w czasie spektaklu pilnować efektów świetlnych, zmiany dekoracyj, przygotowania kostjumów i charakteryzacji".

Ze słów artysty dowiadujemy się również o pietyzmie, z jakim wszyscy bez wyjątku członkowie zespołu operowego odnosili się do opracowania dzieła naszego kompozytora, a potem do wykonania go na premjerze, która zgromadziła w ów niezapomniany wieczór dosłownie cały kulturalny Belgrad (25 kwietnia 1932). Opera polskiego kompozytora została przyjęta nader przychylnie, a dowodem powodzenia było zgórą kilkanaście przedstawień przy wypełnionej widowni. W głównych rolach występowali wówczas: Bahrija Nuri Hadzić (Caton), Blanka Kezer (Fatma), Stanisław Drabik (Casanova) i Paweł Chołodkov (Branicki).

W następnym sezonie teatralnym (1932—33) Drabik zabiega około wystawienia „Casanovy" na galowem przedstawieniu w belgradzkiej operze, które urządzono przy poparciu posła R. P. Szwarzburg-Günthera z okazji święta Niepodległości Polski. Nadano wówczas temu przedstawieniu wyjątkowo uroczyste ramy. Okolicznościowe

Dokończenie na str. 18-tej.



Kostjum Caton (Casanova, akt II).



Kostjum Casanovy (akt III)



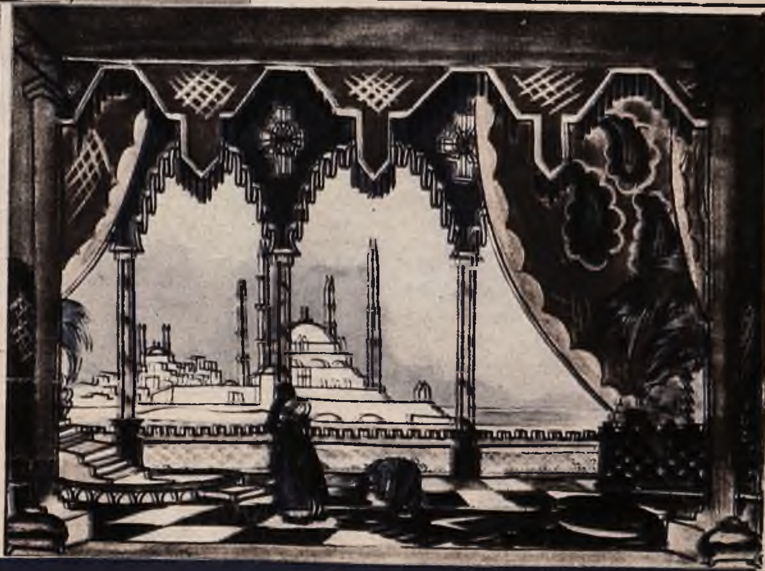
Na lewo: Kostjum Caton (Casanova — akt III).



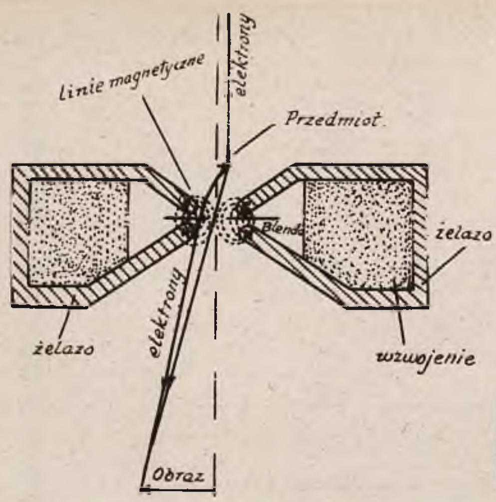
Kostjum Caton (Casanova, akt II, buduar).

PROJEKTY KOSTJUMÓW: N. BABIĆ.





Projekty Żedryńskiego do I aktu (na prawo) i II aktu (na lewo) opery L. Różyckiego „Casanova", wystawionej w inscenizacji St. Drabika w Belgradzie (1932 r.).



Na lewo: Jak tworzą się obrazy przy pomocy promieni katodowych uwidacznia nam powyższy rysunek.

i następnie za pośrednictwem siatkówki, nerwów wzrokowych, przeniosły do odpowiedniej partji mózgu wywołane w ten sposób wrażenie. Cała ta skomplikowana i długiego opisu wymagająca czynność odbywa się momentalnie i bez udziału naszej woli. Tymczasem okazuje się, że jeżeli obserwowany przez mikroskop pyłek czy inna jakaś maleńka częsteczka zbliża się swemi wymiarami do długości fali świetlnej, to sprawa odbijania światła zaczyna się komplikować.

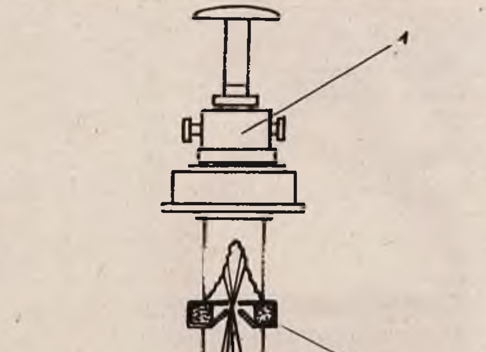
Tak mała cząstka przestaje odbijać promienie świetlne, rozpraszając je bezładnie tak, że o wytworzeniu na siatkówce oka jakiegoś obrazu, nie może być mowy. Gdybyśmy nawet, chcąc zmienić stosunek długości fali świetlnej do wielkości oglądanego objektu, oświetlili go bardziej krótkiemi falami, to stanęłaby na przeszkodzie fizjologiczna właściwość oka, które na tak krótkie drgania eteru jest zupełnie ślepe. Z chwilą poznania tej właściwości promieni świetlnych, nie pozostało nic innego jak pogodzić się z faktem, że żaden optyczny mikroskop nie zdoła przezwyciężyć tej z praw natury wynikającej przeszkody. A jednak duch ludzki nie spoczywa i wiedza z dnia na dzień wzbogaca się, dzięki nieustającej pracy badaczy w coraz nowsze i nie odrazu możliwe do wytłumaczenia fakty, które w lat kilka czy kilkanaście stają się fundamentami nowych hipotez, teoryj i wynalazków. Kilkadziesiąt lat już mija, gdy odkryto elektrony i każdy pamięta z czasów gimnazjalnych rozmaite rurki Geisslera, Crookesa i inne, które dziś przestały być naukowemi zabawkami, a w zmienioiej i ulepszonej formie stały się lampami radjowemi, roentgenowskiemi albo z powodzeniem służącymi celom reklamowym neonami. Przyczyną tych wszystkich cudów są elektrony, te najdrobniejsze atomy elektryczności tak maleńkie, że aby uzbierać 1 gram, trzebaby ich zebrać taką ilość ile np. czereśni zmieści się w kuli o objętości naszego globu. Elektrony pod wpływem wysokich napięć elektrycznych zaczynają poruszać się z ogromną szybkością i nabierają charakteru promieni o niesłychanie krótkich falach. Na tych właściwościach elektronów oparli się dwaj wspólnie pracujący uczeni Bodo von Borries i Ernest Ruska, wpadając na pomysł skonstruowania mikroskopu, w którym promienie elektronowe odgrywałyby tę samą rolę co światło w zwykłych przyrządach optycznych. Miało to miejsce w roku 1932. Dzisiaj po 6 latach pracy i po zwalczeniu olbrzymich trudności, mogą oni poszczycić się niebylejakim wynikiem. Osiągnęli powiększenia ponad 100.000 razy, przyczem ostrość otrzymanych obrazów jest zdumiewająca. Tajemnica tych gigantycznych powiększeń polega na tem, że promienie elektronowe mają o wiele krótszą falę, niż promienie świetlne, wynoszącą zaledwie miljardowe części milimetra. Tak krótkie fale nie rozpraszają się na najdrobniejszych nawet objektach i zdolne są do wytworzenia odpowiedniego obrazu. Obraz ten jest dla oka niewidzialny i celem uwidocznienia go, trzeba przemienić krótkie promienie na dłuższe. Dzieje się to przy pomocy fluoryzującego ekranu, podobnie, jak się to praktykuje przy badaniach promieni Roentgena. Na taki ekran rzuca się niewidzialny, powiększony obraz a w razie potrzeby na płytę fotograficzną, która z łatwością go utrwala. Obraz ten różni się zasadniczo od obrazu powstającego w zwykłym mikroskopie optycznym, ponieważ promienie elektronowe w odróżnieniu od promieni świetlnych, nie odbijają się od oświetlanego objektu, ale przenikają go i to łatwiej w miejscach cienkich, trudniej w miejscach gęstszych i grubszych, dając w ten sposób na fluoryzującym ekranie niejako powiększony obraz cieniowy badanego objektu. Każdemu, kto miał choć raz do czynienia z normalnym optycznym mikroskopem, wiadomem jest, że najważniejszemi częściami, z których składa się każdy mikroskop są niesłychanie precyzyjnie oszlifowane soczewki szklane, które załamując promienie świetlne, wytwarzają powiększony obraz znajdującego się przed objektywem przedmiotu. Także i w tym nowym supermikroskopie konieczne są soczewki, załamując promienie pędzących z zawrotną szybkością elektronów. Jednak nie mogą one być sporządzone z jakiejś materjalnej substancji ze względu na odmienne właściwości optyczne strumienia elektronów. Jedynym nadającym się do tego celu „materjałem“ są bardzo silne pola magnetyczne wy-

Dokończenie na str. 31-ej.

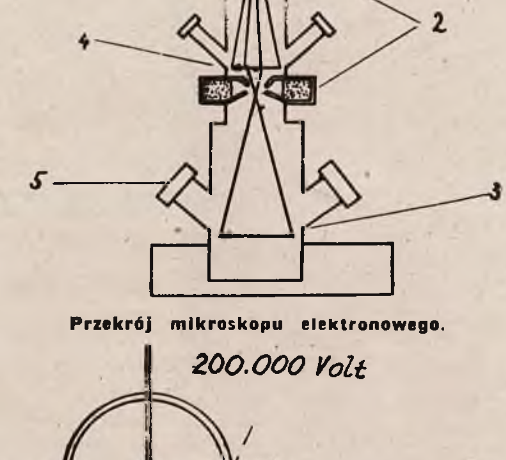
WŚRÓD NOWYCH WYNALAZKÓW — MIKROSKOP ELEKTRONOWY

Istnieje świat niewidzialny dla ludzkiego oka, świat najdrobniejszych stworzeń, najmniejszych drobin materji, świat pełen tajemnic niełatwych do rozwiązania i zgłębienia, a ukrywający się przed wzrokiem człowieka za zasłoną swych ogromnie małych wymiarów. Nie uzbrojone oko rozróżnia jeszcze przedmioty wielkości ok. 1/5 mm., a jest to wielkość przekraczająca kilkaset razy wymiary całej plejady bakteryj chorobotwórczych, z któremi walczy zaciekle medycyna od lat kilkudziesięciu. — Ktokolwiek po raz pierwszy spojrzy przez okular mikroskopu na te maleńkie a tak nieraz niebezpieczne stworzenia, zrozumie, jak ważnem narzędziem stał się on w rękach pracowitych badaczy i w jakiej mierze przyczynił się do rozwoju biologji i medycyny. 250 lat minęło od czasu, gdy Holender Antoni Leeuwenhoek po raz pierwszy spojrzał na kroplę brudnej wody przez własnoręcznie sporządzony mikroskop i pierwszy obwieścił światu o istnieniu najdrobniejszych żywych organizmów. Dziś eksperyment ten powtórzyć może każdy uczniak w pierwszem lepszem laboratorjum naukowem.

Pod koniec ubiegłego stulecia genjalny badacz Abbe, po wieloletnich badaniach stworzył teorję mikroskopu, opartą na matematycznych podstawach, teorję, która po dziś dzień oddaje nieocenione usługi konstruktorom narzędzi optycznych. Potem Zsigmondy wynajduje ultramikroskop, który pozwala jeszcze bardziej pogłębić poznanie niewidzialnego świata przez odkrycie najdrobniejszych bakteryj. Jednak tu natura zaczyna udaremniać wysiłki uzyskania nieograniczonych powiększeń i okazuje się, że powiększenia 2000 razy są mniej więcej ostatnią możliwością na tem polu. Najlepsze szkła, najprecyzyjniejsze konstrukcje, nic tu nie pomogą, przyczyna leży gdzieindziej, wynika bowiem z natury samego światła, tego najważniejszego czynnika, dzięki któremu wogóle widzimy i rozróżniamy kolory i kształty. — Niemal wszystkim jest to w dzisiejszych czasach wiadome, że światło nie jest niczem innem jak znanemi chociażby z radja, falami elektromagnetycznemi i różni się od tych ostatnich jedynie długością. Podczas gdy fale radjofoniczne obejmują zakres od kilkudziesięciu do kilku tysięcy metrów, to fale świetlne mają długość wyrażającą się tysiącznemi częściami milimetra. Wrażenie światła w oku ludzkiem wywołują fale o długości 4—8 dziesięciotysięcznych milimetra. Jest to zakres bardzo szczupły i ta właściwość oka jest również ważną przyczyną niemożności uzyskania większych niż ok. 2000 krotnych powiększeń. Koniecznym warunkiem widzenia jakiegoś wielkiego czy drobnego przedmiotu jest to, aby promienie świetlne odbite od niego bezpośrednio czy przez jakiś przyrząd optyczny, dostały się do naszego oka



Przekrój mikroskopu elektronowego.



Schemat przedstawiający nam powstawanie promieni katodowych w pozbawionej powietrza bańce szklanej.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki: U góry Città del Vaticano (przed wyborem papieża) Finlandji, Czechosłowacji i kolonji angielskiej Antigua.

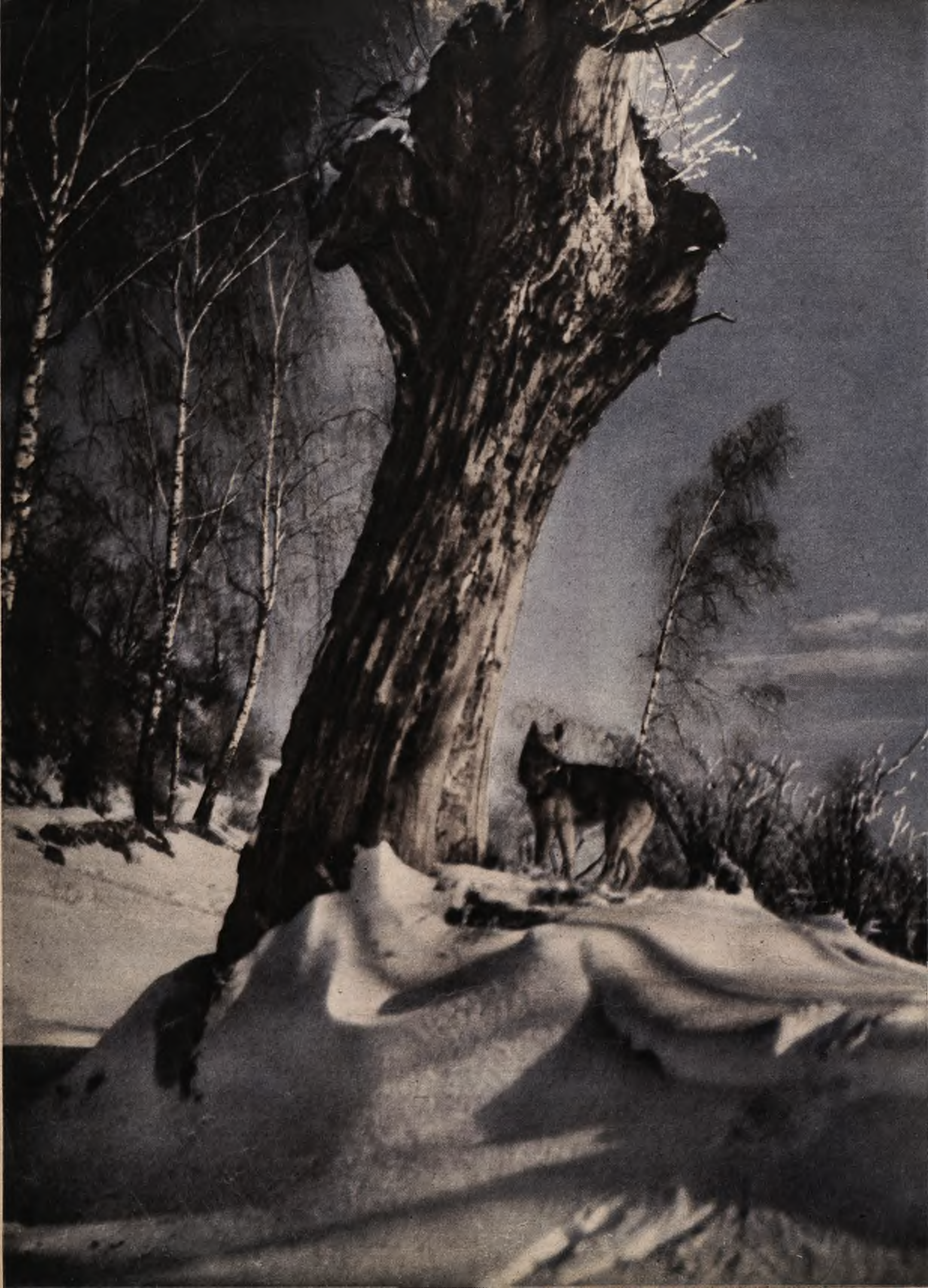
Przemiany polityczne, które dokonały się z błyskawiczną szybkością w ubiegłym tygodniu, nie mogły, rzecz jasna, udokumentować się już we filatelistyce. Reprodukujemy wprawdzie znaczek wydany w styczniu z okazji otwarcia sejmu słowackiego, ale dzisiaj wiadomo nam aż nazbyt dobrze, jaką jest władza tej izby ustawodawczej.

Rozstrzygnięcie zagadnienia czy „Protektorat Czechy i Morawy" będzie miał własne znaczki i w jakiej walucie nie nastręcza wątpliwości. Chyba tylko dla ironji zgodzonoby się na pozostawienie tego chociażby pozornego śladu suwerenności. Czy znaczki czeskie zostaną przedrukowane swastyką, to już rzecz daleko bardziej wątpliwa, ale w chwili, gdy obecny „As" wyjdzie z druku, będzie napewno rozstrzygnięta.

Przepraszamy oczywiście za zupełnie nieaktualny tekst poprzedniego „Kącika", ale nikt nie może przecież wymagać, aby w obecnych czasach fachowiec filatelistyki był prorokiem w sprawach polityki choćby na okres 24 godzin! **WITOLD HORAIN.**

ODPOWIEDZI REDAKCJI

WP. KOTOWICZ, AUGUSTÓW. Informacji udzieli WPanu czasopismo „Ikaros" Białystok.



PORAŻKA

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

FRAGMENT NIEWYDANEJ POWIEŚCI

Między wysepkami Asinello i Premudą, niedaleko szlaku pasażerskich statków kursujących między Triestem a Fiume, morze było gładkie. Jeszcze ścieliła się wokół cisza przedświtu, zagubiona w mrokach nocy. — Krąg słoneczny zwolna wysunął się z za góry zaprószonej mgłami i pełnej rozmierzwionych obłoków zorzy.

Nagle zakotłowało się morze, piana z szumem bryznęła wokół, fale zagotowały się jak od głębinowego wybuchu bomby, a nad wiry i piany wytrysnęło równocześnie kilkadziesiąt ryb. Skakały, gnąc smukłe ciała w wielkich łukach. Szły jedna za drugą, wychylały się i zanurzały w głębinach w równych odstępach czasu. Patrząc na nie, można było ulec złudzeniu, iż powierzchnią płynie wielki wąż o niezliczonych zwojach, jedna z tych bestyj, o których pełno wieści w starych i nowych marynarskich legendach.

Ryby rozpoczęły swój taniec bardzo daleko od lądu, inaczej na pewno na lądzie wszczętoby głośny alarm. Bowiem wszędzie po brzegach stały pięćdziesięciometrowe drabiny, a na każdej drabinie siedział rybak. Z lornetką w ręku czyhał tylko na ów widok: ryb tańczących. Tuńczyki — a one to były — stanowiły łup cenny i poszukiwany.

Tymczasem tuńczyki, jakby w przekonaniu o własnem bezpieczeństwie, przewalały się w skokach, rozbijając spokojne tonie. Cieszyły się pianą, szumem, chłodnym wiatrem, własnym ruchem, własną strzelistą siłą i rozmachem skoków. W stadzie było przynajmniej czterysta wielkich ryb, a najmniejsza mierzyła od pyska do ogona przynajmniej metr z okładem. Grzbiety znaczone były głębokim błękitem, lecz przy każdym skoku błyskał w świetle jaśniejszy nieco brzuch. Nosiły głowy ostro zwężone po bokach dla lepszego prucia wody, paszcze duże i bezzębne, dziwnie skrzywione ku dołowi, jakby zacięte w wyrazie szczęki. Po obu stronach głowy świeciły wielkie oczy o czarnych źrenicach, trochę nieprzytomne w swej mętnej i nieruchomej złocistości. Ogony miały doskonały kształt dwuramiennego sierpa, dodając tym kształtem smukłości i tak wspaniałemu ciału. Tuńczyki — to najpiękniejsze ryby po rekinach, lecz o ile Stwórca obdarował rekiny potęgą drapieżnych linij i grozą ciężaru — to tuńczyki były uosobieniem lekkości, zwinności i beztroski.

Stado parło ostro, dążąc za przewodnikiem. Wyraźnie kierowało się ku wybrzeżom. — Gdzieś w ustronnem miejscu, w jakiejś odludnej zatoce, pomiędzy skałami dna, na mchach i algach rozbije się kotłowisko, a woda odrazu zblednie od wydzielanej obficie ikry matek i mleka samców. Bowiem celem dalekich podróży tuńczyków były tylko gody weselne. Od wielu miesięcy dążyły do miejsc swego przeznaczenia, podobnie jak czynili to ojcowie ich ojców i matki ich matek, a przed nimi wstecz wieków — tysiączne, miljonowe pokolenia tego rodu. Rok w rok zrywały się do podróży, łączyły się w gromady na dalekich, nieznanych ludziom głębinach oceanu atlantyckiego i gnały na wschód. Niektóre z tych gromad podczas nocy bezksiężycowych, głębokiem dnem, przeciskały się przez niebezpieczny Gibraltar, by potem, opływając półwysep Apeniński od południa, na morzu Jońskiem zwrócić się ku północy — do Adrjatyku.

Rzadko kto dostrzeże tuńczyki w czasie, gdy płyną jeszcze ku wybrzeżom italskim, dopiero blisko celu, na znak przewodnika, rozpoczynają szumiący korowód. Srebrną fanfarą łusek wśród świecącej fali oddają cześć słońcu, ciepłu, żywiołom słonym, złotym pogodom, własnemu weselu i własnej sile muskułów.

Nie łatwa to podróż: czekają na nie ludzie, czekają całe flotylle statków rybackich, ścigają uparcie delfiny i najgorszy z wszystkich, wieczny nieprzyjaciel rodu tuńczyków, bonitów i mieczyków — rekin. Tylko o ile mieczyk z tej kuzynowskiej gromady potrafi bronić się mieczem, ostrą bronią sformowaną z wydłużonej górnej szczęki, ba, nawet pierwszy na złego wroga uderza, to nieuzbrojone makrelowate oddane są w pacht wszelkim uzębionym żarłaczom.

Toteż gdy rekin poczuje ostry, przenikliwy zapach piżma, jakie za sobą zawsze zostawiają tuńczyki — natychmiast budzi się z leniwego trwania i rusza, by ścigać gromadę. Gdy dopadnie — jak piorun rzuca się w sam środek ciżby i gryzie, chwyta, przecina ciała na pół, połyka — aż morze zabrudzi się krwią i fala się powlecze tłustą powłoką skrzeplin. Na tę chwilę czekają już inne gromady głodnych: w pierwszym rzędzie mewy i wielkie rybitwy. I one też ścigały od dawna ciąg ryb, widząc je doskonale, gdyż ze swych powietrznych wysokości sięgały wzrokiem głęboko pod fale i cieszyły się, widząc za tuńczykami rekina. — Wiedziały dobrze, że dostaną na pewno swą cząstkę zdobyczy z niepożartych resztek, albo z drobiu rybiego, który krwią przynęcony, opijał się na powierzchni świeżą posoką. Drobiu rybiego była zaś moc niezmierzona: tłuste sardele, bezościste sardynki, niezrównane skoczki Morza Śródziemnego — blade płocie z czarną pręgą u ogona, dalej: czerwone z wachlarzowatymi ogonkami rybki, wszędobylskie jaskółki czy wróble morskie, wreszcie ryby latające oraz błękitnozielone „igle" z wielkim dziobem przy głowie węża. Wszystko ruchliwe, kolorowe, mieniące się barwami motyli, kolibrów i płomiennych liści jesiennych. Mewy miały w czem wybierać.

Więc niedługo trwał błogi i beztroski spokój stada tuńczyków. Przewodnik, jakby ostrzeżony instynktem, przerwał nagle skoki i nurknął głębiej. Za nim podążyły inne. Lecz niestety, dno w tem miejscu nie było głębokie i sięgało zaledwie stu metrów. Zresztą było już za późno na manewr. Wachlarzowate rozpierzchnięcie się karnego dotychczas stada i panika tylnych szeregów zwiastowały, iż rekin już dopadł ryb i rozpoczął mord okrutny. Ryby szalały. Osiągnąwszy dno, wijąc się wśród grzbietów skalnych, szukały wąskich szczelin i wąwozów między rafami, takich, by przez nie nie mógł się przecisnąć możny morderca. Lecz przerażenie oślepiało i zmniejszało zwykłą bystrość. W popłochu uderzały nosami o bazaltowe ściany skał, mąciły głębokie namuły leżące spokojnie po dolinkach, ocierały się o okapy i nawisy, gryzły pyskami kamienie, chcąc wedrzeć się do ich twardego wnętrza. W jednej chwili z dna zadymiło rozperzonym błockiem, a woda zmętniała od śluzu, krwi, wydartych łusek, odchodów i otoczyła uciekające ryby gęstą, nieprzejrzystą chmurą. W tej chmurze pojawiał się tylko od czasu do czasu groźny cień drapieżcy nurkującego na oślep.

Gdyby teraz ktoś z ludzi znajdował się na powierzchni morza, zobaczyłby owe gwałtowne zmętnienie wód oraz mnóstwo wielkich baniek powietrznych, pędzących ku górze. Bańki pryskały w zetknięciu się z falą, rozsiewając wokół nieznośną woń piżma, pomieszaną z zapachem węglowodoru. Zakwitły na fali tłuste plamy, podobne do tych. które zostawia za sobą łódź podwodna.

Nagle przewodnik zwolnił tempo ucieczki. Ten sam instynkt ostrzegawczy, który go porwał do szybszego biegu, teraz przyniósł uspokojenie. Widocznie inne tuńczyki odrazu wyczuły to samo, bo mniej nerwowo płynąc, zaczęły się grupować wokół przewodnika i powracać do dawnego porządku gromady. Tył szeregów rybich także nie parł już tak gwałtownie naprzód. Wkrótce ryby znalazły się wśród czystych wód i zaczęły dążyć ku powierzchni.

Lecz cóż było przyczyną, że rekin zaprzestał ataku? Najadł się? Nie! Rekin nigdy nie jest syty. Stało się wręcz coś innego.

Rekin ów miał w ostatnich dniach okropnego pecha. Wszedł na wody Adrjatyku śladami stada tuńczyków, pędząc przed sobą jak mu się zdawało, stałą, dobrze zaopatrzoną, żywą spiżarnię. Lecz spotkał go pierwszy zawód: przewodnik ryb umiał tak dobrze kluczyć, tak prowadzić powierzoną sobie gromadę, tak głęboko chować w głębinach, tam takie wynajdywać drogi — że ściganie stada stało się bardzo męczącą robotą. Więc

„GANGSTER" LEŚNY
Fot. Edward Hartwig

mimo uporu i zaciętości w pogoni, rekin, choć pływak nadzwyczajny, zaledwie trzy razy zdołał dogonić tuńczyki i to z wynikiem nie bardzo zadowalającym.

Był wciąż głodny. Już od chwili kiedy po raz pierwszy uderzył płetwą marzył, by napełnić pysk i chłonny żołądek taką masą żarcia, by nic więcej do niego zmieścić się nie mogło. Lecz gdyby nawet jadł przez dzień cały, to soki żołądka pracowały ostrzej niż pysk mógł nadążyć. Co w żołądek wpadło — zamieniało się na papkę, a kurcze muskułów wyrzucały papkę ku kiszkom. Żaden kęs, nawet największy, nigdy nie był dla rekina wystarczający. Nim za pierwszym przyszedł drugi — już żołądek był pusty i wymagał nowej pracy, nowego wysiłku, nowego węszenia, nowych walk i nowego polowania. Rekin płynął bez ustanku, bez odpoczynku, wiedziony przez straż wiernych rybek-pilotów, chwytał wszystko, żarł, połykał, ciął i szarpał. Obojętne: czy śmierdzący brzuch zdechłego wieloryba, czy żywe jeszcze jego boki czy stado makreli, czy ciało własnych braci. Lecz nic nie pomagało — on ścigał ryby, a jego ścigał głód.

Dziś głód dokuczał mu podwójnie, bo nie tylko miał pusty brzuch, ale rozproszony po wodach zapach tuńczyków, przywodził mu ciągle na myśl kawały żółtawego, tłustego mięsa. Lecz tego mięsa nie było. Co prawda parę razy napotkał ławice sardeli, lecz czyż zgłodniały człowiek może nasycić się śniegiem spadającym z nieba? Tylko wielkie wieloryby zaopatrzone zamiast zębów w sieć fiszbinową i ów tajemniczy, mało znany rekin-wieloryb, zamieszkujący najdalsze głębiny — potrafią zadowolić się sardynkami. Mają zresztą żołądek mniejszy i przełyk ciasny. Lecz ów szary żarłacz miał pysk olbrzymi, a gardłem przecisnęłoby się bez trudu całe cielę. Żołądek wielki był jak stajnia, tylko była to stajnia pusta.

Więc kiedy znów poczuł ślady tuńczyków, głód przerodził się w atak szału. Nie czekał odpowiedniej chwili chytrze a cierpliwie, jak to miał we zwyczaju, odrazu wżarł się w szeregi opieszałych ryb. Zamiast oczekiwać stada na czystych wodach, w zasadzce za skałą denną, zanurzył się na oślep w zmętniałej głębi. Nie widząc nic przed sobą, obijał nosem o skały i chwytał zamiast ryb gorzkie i piekące ukwiały czy anemony. — Przytem, gdy znów rzucił się brutalnym ruchem ku dołowi, spostrzegł podejrzany cień przed nosem. Mimo krótkiego wzroku dojrzał, że to nie była ryba, ani anemon, ani ukwiał, ani krab na wysokich nogach, tylko grube biczysko pokryte szeregiem ssawek. Ruch biczyska był jak cięcie — szybkie a niespodziewane. Rekin zwinął się na miejscu i od razu podał tył. Przejęty szaleńczą trwogą pognał co mocy w płetwach ku powierzchni. Rekin rzadko się śpieszy, ale gdy się śpieszy, przepływa przed oczyma zdumionego widza nie ciało, lecz ciemna smuga czegoś nieokreślonego.

W zasadzie rekiny nie boją się niczego i są raczej bezczelne, niż ostrożne. Lecz opanowuje je piekielny strach na widok jednego jedynego stworzenia: głowonoga. Głowonogi, zwierzęta jeszcze żarłoczniejsze od żarłaczy, przytem złośliwie inteligentne, są w dodatku całkowicie z racji swych właściwości nieuchwytne. Mogą wsunąć miękkie ciało do najwęższej szczeliny, do której nie sięgnie pysk rekina — i z niej dopiero rzucać się na grzbiet o tyle większej od siebie ryby. Umieją też przyssać się do jej ciała między głową a oskrzelami i zamknąć wolnem ramieniem otwór skrzeli i odciąć ciąg powietrza. W walce z ośmiornicą rekin zawsze ginie od uduszenia.

Ośmiornica — to straszliwy kat morza i groza jego głębin. Dysponuje wszystkiemi orężami, jakie tylko wymyśliła natura: posiada chwytne ramiona, siłę przewyższającą wszelkie oczekiwania, pysk uzbrojony w dziób papuzi, ciało w zwinność, umiejętność zmiany barwy, w okropną gibkość muskułów, wreszcie w ciemny płyn, którym zamąca wodę i ukrywa atak, albo ucieczkę. Toteż rekin znając swą słabość, na widok ośmiornicy zawsze wpada w panikę, ucieka przed siebie, nie patrzy na prawo i lewo, a ustaje dopiero wtedy, gdy go siły opuszczą.

Tak uciekał nasz rekin. Byle prędzej, byle dalej. Ślepa trwoga związała mu wzrok, słuch, czucie, zgasiła wszelką czujność bojową, tak konieczną w bezlitosnych dżunglach podwodnego świata.

Dlatego poczuł zbyt późno, że trze o coś ostrego, a potem plącze się w czemś śliskiem, lecz nieustępliwem, w czemś co wstrzymuje pęd ucieczki. Instynkt i strach kazały rzucić mu się całem ciałem wstecz, lecz miast uwolnić się od pęt — nowe pęta oplątały mu płetwy i ogon. Zaczął się tedy rzucać okropnie, lecz każdy ruch przynosił tylko jeszcze bardziej krępujące zacieśnienia. Uciekając przed ośmioma nogami głowonoga, tu natrafił na tysiące cienkich macek. Podobnie jak ramiona ośmiornicy oblepiły otwory skrzeli, zostawiając otworem jedynie dwie małe szczeliny.

Przeniknął ciało drapieżnika strach śmierci. Raz i drugi skręcił się jak stalowa sprężyna, lecz prędko utracił siłę oporu, gdyż powietrze nie dopływało do wnętrza. Tak rekin, ryba i zwierzę wody, uległ losowi zwierząt lądu: — utonął. Ale nie poszedł na dno. Martwe ciało bestji równie silne jak i przedtem, podtrzymywały więzy sieci rybackiej.

Taki był koniec wielkiego szarego rekina.



Spitsbergen: kraj lodu i mgieł

Fot. S. Bernadzikiewicz

PIERZAŚCI NURKOWIE

Wśród szerokich warstw czytelników utarło się popularne mniemanie, że woda jest wyłącznie żywiołem ryb oraz stworzeń, które natura budową przystosowała do życia czy to w jeziorach czy w rzekach. Natomiast istnienie ptaków, przebywających większą część życia nie nad wodą ale pod jej powierzchnią, zdaje się być zupełną niemożliwością.

Badacze przyrody udowodnili jednak, że nawet dosyć duża liczba ptaków nie tylko, że z zamiłowaniem zanurza się w wodzie, ale porusza się w niej z łatwością i pewnością narówni z istotami wodnemi.

Rozumie się samo przez się, że ptaki posiadające skłonności do zanurzania się pod legają, tak jak inne stworzenia, prawu fizycznemu zmuszającemu je do wynurzania się na powierzchnię dla zaczerpnięcia świeżego powietrza w płuca. Wiele z nich ogranicza się do chwilowego wytknięcia dzioba nad wodę, a potem znowu zanurzają się, jak gdyby były w swojem właściwem otoczeniu.

Zadziwiającym jest fakt, że wśród tych mistrzów nurkowania znajdują się i tacy, których budowa i upierzenie są w zupełnej sprzeczności ze sposobem ich życia. Nie posiadają bowiem między palcami błon, umożliwiających pływanie, ale mają palce zaopa-

Poniżej: Chiński bażant wodny (jacoma).





Perkoz przy swojem gnieździe.

Poniżej: Kurki wodne podczas nurkowania.



trzone w pazury, przystosowane wyłącznie do poruszania się po ziemi.

Szczególniej interesującym miłośnikiem wody jest mały ptaszek z rodziny drozdów zwany także pluszczem korduskiem (Cinclus aquaticus). Pluszcz jest ptakiem górskim przystosowanym do klimatu chłodniejszego, a upierzenie popielatawo-brunatne z białem podgarlem nie wyróżnia go z gromady innych ptaków. Żwawy ten skrzydlaty nurek z zupełną swobodą i dużą szybkością porusza się pod wodą. Pomaga sobie nie tyle nóżkami, które nie posiadają zupełnie błon umożliwiających pływanie, ile skrzydełkami jakby umyślnie do tego celu przystosowanemi, krótkiemi i szerokiemi. Drozd wodny prawie wszędzie a także i u nas w górach rozpowszechniony, żyje tylko w pobliżu wód płynących, a najchętniej gnieździ się przy wodospadach. Rzuca się w najbardziej rwącą wodę niby strzała, w poszukiwaniu ikry rybiej lub larw owadów, aby gdzieś daleko wychylić główkę dla zaczerpnięcia powietrza. Nawet maleńkie jego młode, które nie odważyły się na wylot z gniazdka, narażone na niebezpieczeństwo w czasie nieobecności starych szukają schronienia we wodzie. Jest to dla nich tem łatwiejsze, że drozd buduje zazwyczaj gniazdka tuż nad wodą, w miejscu jak najbardziej niedostępnem, naprzykład pod wodospadami.

Gdy zimą lód skuje powierzchnię wody, ptaszek przenosi się w klimat cieplejszy. Pozostaje jedynie wtedy, gdy znajdzie w lodzie jakąś szczelinę umożliwiającą mu dostęp do wody.

Ciepłota jej jest mu najzupełniej obojętna, gdyż upierzenie gęste nie dopuszcza do ciała żadnej kropli wody.

Niektóre ptaki choć nie mają zwyczaju nurkować w razie niebezpieczeństwa, obierają sobie wodę jako schronienie przed napastnikiem. Czyni tak, znany w Polsce zimorodek (Alcedo ispida), najpiękniej ubarwiony z krajowych ptaków. Gdy siadając zazwyczaj nieruchomo na gałęzi czy na sterczącym nad wodą korzeniu drzewa, oczekuje nieruchomo na zdobycz — wygląda wówczas jak mały klejnot lśniąc metalicznym błękitem z wierzchu i rdzawem podbrzuszem. Żywi się maleńkiemi rybkami, ślimakami wodnemi, pijawkami i tem podobnemi małemi żyjątkami. Gdy dostrzeże pożywienie, rzuca się błyskawicznie i często za przykładem drozda wodnego zanurza się zupełnie. Nie nurkuje głęboko i natychmiast wynurza się na powierzchnię wody. W razie zaś niebezpieczeństwa, jak to już wspomniałem powyżej, chowa się we wodzie aż wróg się oddali.

Zimorodek zakłada swe gniazdko w doskonale skrytej jamce, do której prowadzi wykopany przez niego kanał. W jamie, usłanej ośćmi ryb, samiczka składa jajka i wysiaduje je pieczołowicie. Młode karmią rodzice owadami a gdy dorosną rybkami. Zimorodek jest ptakiem rzadko spotykanym, chociaż nie tępią go ani ludzie ani zwierzęta, nie mogąc dostać się do doskonale chronionych gniazd.

Jednym z najsprawniejszych ptaków wśród nurków jest kurka wodna (Fulica) Buduje ona również gniazda tuż nad brzegami wód i wyczuwając instynktem, z której strony może grozić gniazdu niebezpieczeństwo, umieszcza je doskonale zabezpieczone od zwierząt i od zalewów w czasie powodzi. — Charakterystyczną cechą tej inteligentnej i niedoścignionej w sztuce ukrywania się, kurki wodnej, jest skłonność samobójcza. Gdy postrzelona lub raniona czuje zbliżającą się śmierć, zanurza się i chwytając się dziobem i palcami nóg roślin podwodnych, dusi się z braku świeżego powietrza.

Przez swą budowę ciała równie doskonałym ptakiem pływającym i nurkującym jest perkoz dwuczuby (Podieeps cristatus), zamieszkujący w lecie niektóre północne jeziora. Upierzenie tego ptaka jest nadzwyczaj zdobne i oryginalne zwłaszcza w lecie, gdy szyję jego zdobi biały czarno-obrzeżony kołnierz, a pierś połyskuje bielą piór, przechodząc na grzbiecie w kolor szaro-brunatny. Ponad białą oprawą ócz wyrastają z brunatnego czoła dwie kępki pióropusza, wyglądające niby czarne rogi komicznie zdobiące głowę perkoza. Na lądzie porusza się niezgrabnie, ale za to wybornie pływa. Ptak ten może przebyć z łatwością w szybkim czasie olbrzymie przestrzenie podwodne, wystawiając dziób jedynie dla nabrania powietrza.

Ciekawy jest sposób budowy jego gniazda z miękkich błotnistych roślin, tworzących nieforemne kupy, o których nikt nie przypuszczałby, że są gniazdami wylęgowemi. — Ażeby zaś fale lub wiatr nie uniosły go w czasie jego nieobecności, przymocowuje gniazdo do pnia przybrzeżnego lub innego przedmiotu źdźbłami, ale gdy miejsce to wyda się mu mało bezpieczne, wówczas odczepia gniazdo, siada na niem i wiosłując nogami odpływa z niem gdzieindziej.

Ciekawym ptakiem, którego upierzenie zupełnie nie licuje z wodą, jest chiński bażant wodny (Jacana). Natura obdarzyła go wspaniałem upierzeniem a nogi zaopatrzyła długiemi palcami, aby mógł poruszać się swobodnie po talerzowatych liściach wodnych roślin. Wskutek długich palców, ciężar jego

Dokończenie na str. 18-tej



PORTRET
CHARLES BOYER I



Y EKRANU
MADELEINE CARROLL



Białystok

Fronton pałacu białostockiego, według proj. z XVIII wieku.

Doskonałą szosą z Warszawy podążamy autem do Białegostoku, stolicy Podlasia, dzisiejszego wojew. Białostockiego.

Do połowy XVIII w. Białystok istniał jako zwykła wieś, położona w byłej ziemi Jadźwingów. — Okolice piaszczyste spowodowały znane stare przysłowia „szlachcic podlaski ma piasek, lasek i karaski" i drugie jeszcze znamienniejsze: „ma fortun sześć, a nie ma co jeść". W XVII w. wieś Białystok należał do marszałka nadwornego litewskiego Wiesiołowskiego, który wystawił pierwszy kościół murowany, dwa młyny i założył pierwszą szkółkę ludową. Syn jego Krzysztof umierając bezdzietnie zapisał dochody z dóbr białostockich na utrzymanie w należytym porządku zamku w Tykocinie. Król Jan Kazimierz w r. 1661 nadał starostwo tykocińskie wraz z przynależnymi do niego dobrami w dziedziczne posiadanie wojewodzie kijowskiemu, a późniejszemi hetmanowi polnemu Stefanowi Czarnieckiemu, który oddał go jako wiano córce swojej Aleksandrze Katarzynie. — Wyszła ona za mąż za towarzysza broni hetmana i podkomendnego jego Klemensa Branickiego, stolnika koronnego. Rządy Gryfitów-Branickich w historji Białegostoku stanowią epokę rozkwitu. Niebawem Braniccy przenieśli się też z Małopolski do Białegostoku.

Budowę wspaniałego pałacu w Białymstoku rozpoczął syn Klemensa Stefan Mikołej Branicki około roku 1702. W r. 1709 umarł Stefan Mikołaj i budowla nie została dokończona, w części jednak była już zamieszkała. Spadkobiercą został Jan Klemens Branicki i z jego też osobą bezsprzecznie wiąże się historja świetności Białegostoku. Wychowany zagranicą, posiadał w wysokim stopniu kulturę zachodnią. — Przyszły wielki hetman koronny, przyszły szwagier króla Stanisława Poniatowskiego (ożeniony był bowiem z jego siostrą Izabelą) piastował najwyższą godność senatorską — kasztelanję krakowską. Do króla Stanisława zawsze żywił niechęć i nazywał go z przekąsem „Panem Stanisławem".

Podniesienie Białegostoku do rzędu miast nastąpiło za czasów Klemensa Branickiego, a pierwszym tego dowodem jest dokument z roku 1742. Przywilejem zaś z roku 1749 August III. nadał mu prawo magdeburgskie, z tą chwilą ustrój Białegostoku oparł się na wzorach innych miast w Polsce. — Do miasta poczęli zjeżdżać koloniści przeważnie z Saksonji.

Ogromny pożar w r. 1750 zniszczył Białystok prawie doszczętnie. Wtedy to hr. Branicki sprowadził z zagranicy zastęp wykwalifikowanych artystów, architektów, majstrów, rzemieślników, nie szczędził pracy ani nakładów, aby miasto z gruntu odbudować i postawić wysoko pod względem technicznym jak i estetycznym. Budowę pałacu, jak już wspomnieliśmy, rozpoczął ojciec hetmana. Przedtem istniał skromny dworek myśliwski, w którym właściciele i ich goście zatrzymywali się podczas odbywających się łowów. Początkowo pałac miał kształt wydłużonego czworoboku, przez środek budowę dzieliła wielka sień, łącząca się po bokach z czterema alkierzami. W prawem i lewem skrzydle umieszczone były klatki schodowe okrągłe, w formie wieżyczek. Komnaty posiadają barokowe sklepienia krzyżowe. Na pierwszem piętrze mieściła się mała kapliczka pałacowa, utrzymana też w stylu barokowym. — Wzniesiony w ten sposób pałac przez hr. Stefana Branickiego uległ później gruntownemu przeistoczeniu. — Hr. Jan Klemens Branicki, wychowany na wzorach zagranicznej sztuki, według ich wzorów pragnął rezydencję swoją stworzyć. Z pietyzmu jednak dla pamięci ojca pozostawił pierwotną budowlę, dostosowując ją jednak do swoich wymogów. — W ten sposób powstała za jego życia wspaniała królewska rezydencja, dochowana do naszych czasów.

Do pałacu prowadzą dwa dziedzińce, dziedziniec zewnętrzny „avant-cour" i dziedziniec reprezentacyjny „cour d'honneur". W ten sposób wytworzyła się wspaniała perspektywa na cały pałac od bramy wjazdowej. Dziedzińce odgradzał niski mur, brama ozdobiona była dwoma posągami Herkulesów. Pawilon środkowy pałacu był dwupiętrowy. Centrum tworzył czterokolumnowy portyk, podtrzymujący taras. — Po bokach znajdowały się jednopiętrowe pawilony boczne, w których mieściły się pokoje gościnne, kredensy i t. d. Całość posiadała formę podkowy. Pałac częściowo kryty był blachą miedzianą. Dach otaczała balustrada, dominował nad nim ogromny posąg Atlasa, dźwigającego kulę ziemską. W bliskości pałacu znajdowało się kilka mniejszych budynków, należących do zabudowań pałacowch, wszystko otoczone było murem. — Dekoracje wewnętrzne pałacu wykonane były przeważnie w stylu Ludwika XV-go. Ściany wyłożone buazerjami, sufity bogato stiukowane. Część komnat w prawem skrzydle urządzono w stylu Stanisława Augusta. Prywatne komnaty hetmana mieściły się w prawem skrzydle, pierwsza była tak zwana „antykamera" zawieszona bogato dziełami sztuki. Sypialnia obita była zielonym adamaszkiem z pięknym piecem z białych gdańskich kafli. Dalsze komnaty hetmańskie reprezentacyjne i służące do pracy były też wspaniale urządzone. — Pokoje hetmanowej znajdowały się w lewej stronie pawilonu środkowego. Tutaj na uwagę zasługuje pokój zwany „paradny" z portretem Pawła rosyjskiego, następcy tronu, meble obite czerwonym adamaszkiem, starożytny klawicymbał, piec z kafli białych saskich. Do ogólnego użytku służyły apartamenty na piętrze: kaplica, wielka sala reprezentacyjna, pokój stołowy, pokój złoty, pokoje królewskie, pokój chiński, komnata ze szklanną podłogą, akwarjum i t. d. — Liczna bibljoteka zawierała cenne dzieła, przeważnie autorów obcych. Oddzielnie przechowywano niezawieszone obrazy, tak zwane „stare", pomiędzy któremi znajdowało się kilkadziesiąt obrazów Mirrysa i kilkanaście Herliczki. — Bogato zaopatrzony był osobny magazyn dywanów, obić, makat, sukna i tkanin. Szatnia hetmańska była zaopatrzone w przeróżnego rodzaju stroje, a piwnica w mocne i drogie wina. Wspaniałe srebrne i złote zastawy stołowe, pomiędzy któremi wymienić wypada: serwis srebrny saski, serwis srebrny mały, robiony na miejscu w Białymstoku, czara szczerozłota wysadzana rubinami, fajerka srebrna do odgrzewania potraw (po królu szwedzkim Karolu XII). Nadzwyczaj liczną była pałacowa stajnia, bo poza wierzchowcami hetmana i końmi oddziałów wojska, pozostającego na żołdzie hetmana, spis obejmuje przeszło 200 koni.



Klatkę schodową w pałacu białostockim zdobią po dziś dzień ciekawe rzeźby.

Park pałacowy był duży i nader malowniczy z powodu zręcznie wyzyskanego terenu falistego; znajdujące się w nim liczne fontanny, klomby, nadawały mu charakter ogrodu francuskiego. Rozległe cieplarnie dostarczały podzwrotnikowych owoców; pomarańcze, cytryny, ananasy, daktyle, figi, imbir, egzotyczne krzewy służyły do ozdabiania pałacu. — Na południowych stokach Białegostoku znajdował się ogromny zwierzyniec, o ca. 14 kilometrach obwodu; pełen był jeleni, danieli i t. d. Specjalna bażantarnia-kuropatwiarnia, a także pstrągarnia dopełniały całokształtu tej magnackiej rezydencji. — Liczni mieszkańcy rezydencji hetmana składali się z urzędników i funkcjonarjuszy kancelarji hetmana, więcej lub mniej stałych rezydentów i bardzo licznych gości. Do najbliższego otoczenia hetmana należeli tak zwani „konsyljarze": Beck, sekretarz ekspedycji cudzoziemskiej, Maciej Starzeński, pisarz wojskowy, Andrzej Mokronoski, Andrzej Węgierski, pułkownik i pierwszy koniuszy hetmana, dr Michał Clementi, przyboczny lekarz, Andrzej Cieszkowski, generalny komisarz dóbr podlaskich Branickiego. Korpus paziów składał się z sześciu synów szlacheckich. Służba była bogato umundurowana, liczna, dobrze żywiona i dobrze płatna.

Rządy Hetmana Branickiego odznaczały się wzorowym porządkiem, panował ogólny

dobrobyt, administracja funkcjonowała doskonale. Zboże eksportowane było do Gdańska własną flotą, składającą się z 20 statków. Admirałem floty był Otocki. — Roczny dochód hetmana sięgał miljona złotych polskich, które w dużej mierze obracał na coraz nowe inwestycje w mieście. Branicki do ostatniej chwili prowadził życie bardzo czynne, a z racji roli, jaką w Polsce odgrywał Wielki Hetman Koronny, Białystok był jednym z ważniejszych ośrodków rozlicznych zjazdów politycznych, na których odbywały się doniosłe narady. Tu zjeżdżali też częstokroć reprezentanci obcych mocarstw. Największą aktywność w tym względzie wykazują czasy Sasów, kiedy władza hetmana była u zenitu. Białystok w okazałości swych przyjęć rywalizował pod każdym względem z dworem królewskim, stąd ta nazwa „Wersal Podlaski". Za czasów Stanisława Augusta Białystok stał się poniekąd gniazdem malkontentów, utyskujących i krytykujących postępowanie króla. — Przyjęcia trwały niejednokrotnie po kilka tygodni, przepychem rywalizując z przyjęciami dworów zagranicznych, szeroko też w Europie były znane. W teatrze pałacowym utrzymywał hetman stałe własną operę włoską i balet. Teatr nosił nazwę „Operhaus czyli komedjalnia" mieścił się w osobnym gmachu w parku. Repertuar składał się z 19 oper, 122 różnych sztuk scenicznych i 41 polskich. Malarze Sylwester de Mirris i Herliczka sprowadzeni z zagranicy stale przebywali w Białymstoku.

Po śmierci hetmana Białystok przeszedł po kądzieli na Potockich. Za czasów Branickich Białystok żył wyłącznie życiem pałacu: z chwilą wkroczenia do niego wojsk pruskich po roku 1795 zaszły w nim wielkie zmiany. Pałacyki, jak również wszelkie murowane domy, stanowiące kompleks rezydencji, zamienione zostały na biura i na mieszkania urzędników. Okazało się jednak, że było ich za mało, wzmogło się więc nagle budownictwo, a ceny placów niepomiernie podskoczyły.

Po śmierci Pani Krakowskiej pałac stał się rezydencją cara, część zaś zamieniona została na mieszkanie gubernatora. Objęcie Białegostoku przez Napoleona trwało, jak wiadomo, tylko przez parę miesięcy. Z chwilą śmierci hetmana, Białystok zaczął upadać tak pod względem sztuki jak i kultury, Pani Krakowska nie miała bowiem możności utrzymywać w dawnej świetności „Wersalu Podlaskiego". Powoli Białystok stawał się zwyczajnym partykularzem prowincjonalnym. Moskale wprawdzie otworzyli na nowo teatr, sprowadzili do niego na dłuższe występy liczne co lepsze trupy teatralne z Warszawy, nie pomogło to jednak wiele. Atmosfera stawała się coraz duszniejsza. Pałac zajęty został przez władze wojskowe, kaplica zamieniona na prawosławną. — W roku 1842 specjalny obwód Białostocki wcielony został do gubernji grodzieńskiej.

11 XI 1918 r. zawiązał się Polski Centralny Komitet, celem objęcia władzy w odpowiednim momencie. W dniu tym niemiecki garnizon białostocki wypowiedział posłuszeństwo władzy wyższej, w dniu zaś 14 XI wkroczyły pierwsze polskie wojska w skromnej liczbie 150 ludzi. 18 XI 1918 r. wydelegował rząd polski jako swego komisarza Ignacego Mrozowskiego, który zaczął przejmować władze z rąk niemieckich. 19 lutego 1919 r. opuścili Niemcy Białystok, a na czele wojska polskiego przybył pułkownik Dziewulski i pułkownik Pasławski. Pierwszym prezydentem miasta został Józef Puchalski.

Rządy bolszewików w Białymstoku trwały od 28 VII do 22 VIII 1920 r. Białystok został przez bolszewików obrany jako tymczasowa stolica „Czerwonej Polski". Bitwa o Białystok, którą stoczyliśmy z bolszewickiem wojskiem, należy do jednej z krwawszych, jakie się odbyły na przestrzeni Grodno—Warszawa.

Godnym widzenia w Białymstoku jest kościół farny, właściwie przybudówka pierwotnego starego kościółka, wystawionego jeszcze przez Piotra Wiesiołowskiego. Za czasów rosyjskich, kiedy mały kościółek stawał się za ciasny, robiono starania o pozwolenie na budowę nowego. Pozwolenia tego Moskale dać nie chcieli, zezwalając jedynie na dobudówkę; w ten sposób powstał nowy kościół bardzo piękny w stylu gotyckim. Jest on połączony ze starym, w którym znajdują się grobowce Piotra Wiesiołowskiego, Stefana Braniekiego, z czarnego granitu i żony jego Katarzyny z Czarnieckich, Jana Branickiego i żony jego Izabeli z Poniatowskich. Pomnik hetmana składa się z piramidy przed którą na dwóch brązowych gryfach spoczywa marmurowa trumna.

Białystok stanowi obecnie bardzo poważny ośrodek przemysłu włókienniczego, a produkcja przeważnie obliczona jest na eksport do Anglji, Afryki Południowej, Indji Angielskich, Chin. W przemyśle białostockim trzeba po fabrykach sukna na drugim zaraz miejscu postawić białostockie wyroby skórzane. Ludność miasta wynosi około 100.000. Jadąc do Białegostoku autem przejeżdża się przez las-park, ulubione miejsce spacerów mieszkańców miasta. Z lasem tym łączą się prześliczne planty — założone przez b. wojewodę białostockiego Zyndram-Kościałkowskiego. Założone na miarę europejską, witają nas latem barwnemi przepięknemi rabatami kwiatowemi, szerokiemi alejami. Wzdłuż nich ciągnie się nowa, bardzo ładna dzielnica willowa. Wogóle Białystok w ostatnich latach podniósł się ogromnie, znać tu na każdym kroku wytężoną pracę wojewody, który dążył przedewszystkiem, aby miasto przybrało jak najbardziej estetyczny i kulturalny wygląd. Żywotność miasta widzi się na każdym kroku: teatr rozpoczęty przed paru laty, w ub. roku został skończony, tak samo duży nowy kościół. — Rzeczą pozostawiającą jeszcze w Białymstoku wiele do życzenia to bruki, ale i te w najbliższej przyszłości mają być zastąpione wygodnemi chodnikami i pierwszorzędnemi jezdniami.

Zofja Chełmicka.

Poniżej: Ogród w Białymstoku mógł śmiało rywalizować z najwspanialszymi parkami Europy (obraz z XVIII wieku).





Powyżej: W parku białostockim znajdują się liczne piękne rzeźby z XVIII wieku.



Na prawo w kole: Fragment parku w Białymstoku z sztucznym wodospadem — (według współczesnej akwaforty).



Na lewo: Młodziutka Mireilly podczas wykonywania ewolucyj na trapezie.

Poniżej: Trzy fazy ewolucyj akrobatki wiedeńskiej Ardelty w cyrku „Medrano“ w Paryżu.



SALTO MORTALE

ZDJĘCIA: F. C. FUERST — PARYŻ.

Na widowni paryskiego cyrku „Medrano“, wypełnionej po brzegi falującym tłumem, naraz wszystko zamarło w bezruchu. Tysiące oczu zawisło pod kopułą cyrku, gdzie na trapezie zaczęła wykonywać swe karkołomne ewolucje młodziutka akrobatka...

Przy każdym śmielszym jej ruchu, gdy kształtne ciało, obleczone w srebrzysty kostjum, wirowało wokół drążka, lub w sekundę potem zawisło nieruchomo na stopach, by przejść zkolei w ruch wahadłowy z efektownym przerzutem na dłonie — tłum pomrukiwał z zachwytem:

— Ooo! Oh!

Kobietom bladły twarze i wilgotniały ręce z emocji. Niejeden z mężczyzn, siedzących na widowni, nerwowo przygryzał cygaro i zacierał dłonie. Zmrużone blaskiem reflektorów źrenice otwarło teraz oczekiwanie na coś, co lada chwila miało nastąpić, a czego wszyscy z niecierpliwością wypatrywali...

Tymczasem dziewczyna usiadła na trapezie. Z wdziękiem oparłszy ręce na sznurach, zaczęła huśtać się, uśmiechnięta i pozornie nie zwracająca uwagi na otchłań, która pod jej stopami zawirowała w tańcu śmierci, wabiąc ku sobie gładkim piaskiem areny.

Spokój akrobatki, kiedy w silniejszym balansie dotarła do drugiego, naprzeciw wiszącego trapezu, i wyrzuciła go daleko przed siebie, mógł niejednemu przywieść na pamięć obraz innej dziewczyny, która fruwając na huśtawce tuż nad ukwieconą łąką wie, że w razie upadku nie grozi jej niebezpieczeństwo. Uśmiech tej drugiej, promienny i wypływający z radości życia, jakże różni się od tego, który zdobić musi co wieczór twarz umęczonej cyrkówki — musi, bo na niego czekają tłumy na widowni, bo za niego płaci dyrektor.

Uśmiech cyrkówki jest wyrazem jej pogardy śmierci. Oto widzimy ją w chwili, gdy gotuje się do wykonania najbardziej efektownej akrobacji, której na imię „Salto mortale“. Szybkie przetarcie rąk chusteczką, jeden rzut oka na ciągle zmieniającą się odległość od balansującego drugiego trapezu, denerwujący warkot bębnów w orkiestrze i...

Udało się!

Z jednego drążka na drugi sfrunęła, niby ptak o jasnych piórach, uśmiechnięta dziewczyna. Jej lot nad areną, szybki jak błyskawica, zwinny jak skok pantery, zdumiał widownię. Ryk zachwytu i grzmot oklasków zagłuszył tusz orkiestry, która nim witała zwycięstwo młodej cyrkówki.

A na dole, za uchylonemi drzwiami garderoby, ktoś samotny czekał na te oklaski.

To matka młodziutkiej akrobatki. Dla niej widok dziecka, igrającego ze śmiercią, lęk o jego życie, co przez długie miesiące, niezmiennie co wieczór ją nawiedza, jest za każdym razem przeżyciem zda się ponad wątłe siły starej kobieciny. Ona woli być zdala od widowni cyrku, która przytłacza ją ogromem, przeraża gwarem tłumu.

Z biciem serca wypuszcza co wieczór z klatki-garderoby swego ukochanego „ptaka“, który wzlatuje wysoko pod kopułę cyrku i tam krąży, budząc zachwyt widzów. Ich oklaski zwiastują szczęśliwy powrót „ptaka“ do gniazda, na który matka czeka z utęsknieniem.

I tak płynie życie cyrkowców, którego treścią jest ciągła walka ze śmiercią. Nie ma dla nich chwili wytchnienia, błogiego spokoju. Nagrodą są im oklaski tłumu, gdy w tej walce odnoszą zwycięstwo, a grobem staje się arena, gdy na jej piaszczystym dywanie przyjdzie im pożegnać się z życiem, jakże barwnem i pełnem emocyj.

J. Leo.



Na prawo: Mireilly i jej matka w garderobie cyrku „Medrano“.

Dokończenie ze str. 5-ej.
przemówienie wygłosił prezes Ligi polsko-jugosłowiańskiej dr Milorad Radovanović, po którem odegrano polski hymn państwowy, pierwszy raz w jugosłowiańskim teatrze.

Powodzenie opery Różyckiego na scenie jugosłowiańskiej skłoniło Drabika do podjęcia starań w kierunku wystawienia drugiego dzieła polskiego kompozytora, którem miała być „Halka". Przedłużając kontrakt na dalszy rok, Drabik i tym razem z uporem, właściwym swej naturze, wymógł na dyrekcji opery przyjęcie warunku włączenia „Halki" do repertuaru, przyjmując ze swej strony obowiązek wystarania się o autentyczne kostjumy góralskie z Polski. Przyjęcie tego warunku było ryzykiem, ale zarazem też i dowodem wiary artysty w powodzenie swej pracy propagandowej. Na tej drodze spotkał się Drabik ze zrozumieniem i pomocą naszego posła w Belgradzie, dzięki czemu mógł wyjechać na urlop do kraju z listem, który mu otworzył w stolicy drzwi urzędów i organizacyj, służących naszej kulturze i jej propagandzie.

— Musiałem przedewszystkiem doprowadzić do skutku — opowiada artysta — wysyłkę do Belgradu partytury i materjału tekstowego do „Halki", co rychło nastąpiło przy wydatnej pomocy naszego M. S. Z., które nuty przekazało przez poselstwo do dyspozycji dyrekcji opery. Ta zaś przystąpiła do rozpisania głosów orkiestrowych i przetłumaczenia tekstu, czego podjął się dyr. S. Binički przy wydatnym udziale nieżyjącego już dziś sekretarza naszego konsulatu w Belgradzie, Stanisława Schifmillera. Równocześnie zwróciłem się w Warszawie do „Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej", którego dyrektor p. Treter przyrzekł mi pomoc w postaci materjałów na kostjumy góralskie. Nie poprzestając na tem, wyjechałem na Podhale w poszukiwaniu oryginalnych wzorów regjonalnych. Udało mi się przekonać właściciela Szczawnicy, hr. Stadnickiego i zarząd uzdrowiska Zakopane o skuteczności propagandy tamtejszego folkloru zagranicą w formie najbardziej wartościowej, bo artystycznej i w ten sposób uzyskałem dwa wspaniałe dary: strój Jontka, ofiarowany przez uzdrowisko zakopiańskie i strój Halki, dar hr. Stadnickiego dla Teatru Narodowego w Belgradzie. Pamiętam rozmowę z ówczesnym zastępcą burmistrza Zakopanego, p. Jaciną, który między innemi powiedział: „My górale będziemy się cieszyć, jeśli nasz kostjum przyczyni się do popularyzacji polskiego folkloru i Zakopanego zagranicą". I istotnie nie pomylił się! Cała prasa jugosłowiańska rozpisywała się o tym pięknym geście, a na premjerze „Halki" wołała rozentuzjazmowana publiczność „Živio Zakopane!" (Niech żyje Zakopane).

Zebrawszy wiele zdjęć z Podhala, szkice Stryjeńskiej i Rychter-Janowskiej, oraz wzory kontuszów z teatru krakowskiego, wraca Drabik do Belgradu i przystępuje tam do prac, związanych z inscenizacją „Halki". — Projekty dekoracji wyszły z pod pendzla Stasy Belożańskiego. Kostjumami zajął się sam Drabik, czuwając, by pracownia teatralna wykonała je ściśle wedle wzorów, przywiezionych z Polski, z materjałów, które ofiarowało „TOSSP". Kierownictwo muzyczne objął i tym razem sam dyr. Hristić. Wykonanie partji tytułowej powierzono primadonnie opery Ksenji Rogowskiej. Jontka śpiewał Drabik, Stolnika bas Pihler, Janusza baryton Ertl.

Premjera „Halki" w operze belgradzkiej odbyła się niezwykle uroczyście w dniu święta Niepodległości Polski (11 listopada 1933). Teatr wypełniła po brzegi wytworna publiczność, a w lożach zasiadł rząd jugosłowiański, poselstwo R. P. w Belgradzie, korpus dyplomatyczny, przedstawiciele wszystkich instytucyj naukowych i kulturalnych stolicy Jugosławji. O podniosłym nastroju, w jakim wysłuchano przemówienia gen. dyr. teatrów Ilića i hymnów polskiego i jugosłowiańskiego, o szczerym entuzjazmie, który ogarniał widownię w momentach produkowania poloneza, mazura i tańców góralskich, dowiadujemy się z licznych opisów tego pamiętnego wieczoru, jakie już nazajutrz pojawiły się w całej prasie belgradzkiej. Krytyka fachowa nie szczędziła słów największych pochwał wykonawcom, oraz inscenizacji i reżyserji Drabika, któremu poseł Schwarzburg-Günther wyraził pisemnie specjalne podziękowanie.

Równocześnie postanawia wystawić „Halkę" i opera w Zagrzebiu. Drabik na zaproszenie dyrekcji tamtejszego teatru obejmuje reżyserję i współpracując z malarzem-dekoratorem Trepśe, kapelmistrzem Jakovem Gotovcem i primabaleriną Małgorzatą Froman, realizuje premjerę „Halki" w Zagrzebiu w dniu 20 lutego 1934. W trzy dni potem odbyło się tam drugie przedstawienie arcydzieła moniuszkowskiego, po którem prasa jednogłośnie domagała się włączenia „Halki" do stałego repertuaru teatrów jugosłowiańskich, podnosząc czar jej muzyki i wybitne walory widowiskowe. W sumie grano „Halkę" na scenach jugosłowiańskich 20 razy w okresie lat 1933—35.

Jak z powyższego krótkiego szkicu widzimy, praca Drabika przyniosła poważne rezultaty. Artysta odznaczony złotym Krzyżem Zasługi i orderem św. Sawy, może śmiało powiedzieć o sobie, że był na terenie Jugosławji najlepszym ambasadorem polskiej muzyki.

J. L.

(Dokończenie ze str. 11-tej).
ciała rozkłada się równomiernie na całą powierzchnię liści, które nie zanurzają się, ale stanowią dla niego jakby małe wysepki, po których doskonale się porusza. W wodzie pomaga sobie silnemi skrzydłami, jak drozd wodny. Spłoszony znika pod wodą i biegnąc po dnie szuka odpowiedniego miejsca między łodygami roślin, aby wysunąć dziób na powierzchnię wody, w celu nabrania oddechu.

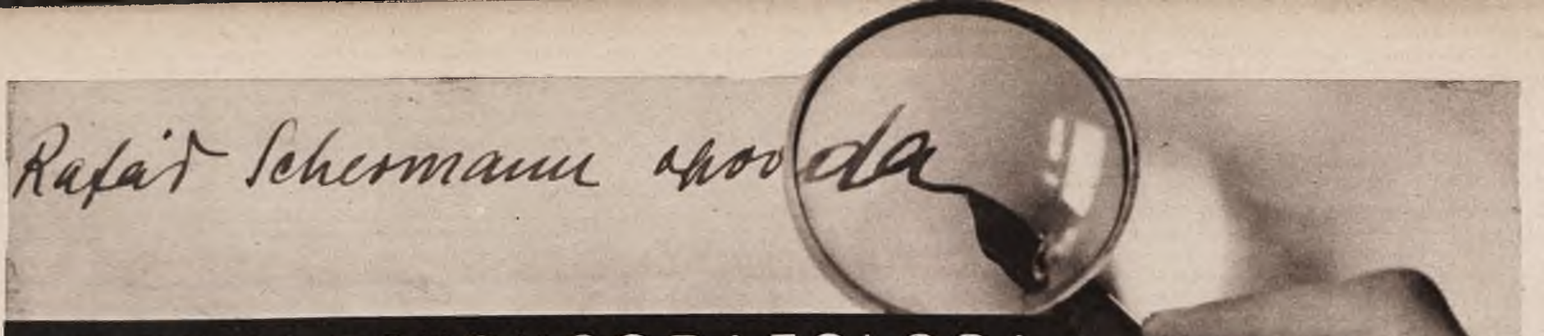
Do mistrzów nurkowania należy również zaliczyć afrykańskiego wężoszyjca, znajdującego się także i na Florydzie. Pływa on i nurkuje doskonale, a woda stanowi również jego schronienie. Ruchy szyji są podobne w czasie pływania do ruchów pływającego węża i stąd pochodzi jego nazwa. Rodzice karmią młode w ten sposób, że pozwalają im wybierać ze swego wola nagromadzone tam pożywienie.

W okolicach podbiegunowych żyje gołąb morski, kaira (Cephus grylie). Wiele on musi przezwyciężyć trudności, aby wychować pisklęta, składa bowiem tylko jedno jajko na gołej skale, narażone na mnóstwo niebezpieczeństw. Rodzice wychowują młode pieczołowicie aż do podrośnięcia. Wówczas gołąb bierze swe młode na grzbiet i wzlatuje nad powierzchnię wody, zrzucając pisklę do niej. Gołębie morskie pływają doskonale tem bardziej, że żywią się rybami i z żywiołem wodnym mają stale do czynienia.

Przeciwieństwem tych zgrabnych i pięknych ptaków jest ociężały i na pozór niezgrabny pingwin (Alca impennis) zamieszkujący ocean Antarktyczny. Ptaki te poruszają się niezgrabnie na lądzie, mając budowę przystosowaną wyłącznie do wody. — Skrzydła posiadają pletwowe, szczątkowe, ale silne, pomagające znakomicie do pływania, ciało długie, nogi osadzone w tyle, wskutek czego pingwin na lądzie przybiera postawę zupełnie pionową. Stojąc olbrzymiemi gromadami na wysepkach, przypominają dzieci poubierane w białe suknie. W czasie zimy przepływają ocean i na południowym półwyspie Ameryki Południowej pokrywają się grubą warstwą tłuszczu, chroniącego je od zimna. Gdy instynktem przeczują tajanie lodów, niby torpeda, nie zbaczając z drogi, mkną ku lodom antarktycznym, wypoczywając jedynie na napotkanych odłamach lodowych. Wrogami ich są niebieskie lisy, ale pingwiny umieją unikać niebezpieczeństw, ochraniając młode i prowadząc je bezpiecznie do morza. Jest kilka rodzajów tych ptaków: a więc bezlotek królewski, sięgający człowiekowi aż po piersi, bezlotek Adelji, najciekawszy z tej rodziny.

Jest jeszcze wiele innych ptaków, które możnaby zaliczyć do grupy doskonałych nurków, wymienione jednak są najcharakterystyczniejsze i najciekawsze.

Jadwiga Kautzka-Walczakowa.



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Pewnego razu przyjeżdża jedna pani, należąca do węgierskiego towarzystwa naumyślnie do Wiednia, aby zapytać mnie o powody, jakie skłoniły jej syna do odebrania sobie życia w jego najpiękniejszym wiosennym okresie.

Na wstępie pani owa przedstawiła się jako matka studenta, którego pismo przyniosła mi do analizy. Stara się nie zdradzić okropnej męki i zdenerwowania, którym podlega i z torebki wyjmuje pismo syna, które, nie mówiąc słowa, kładzie przedemną. Znalazłem się raz jeszcze w tem smutnem położeniu, że musiałem okrężną drogą opisywać rzeczy, które aż nazbyt jaskrawo przemawiały do mnie z pisma. Młody człowiek, o którego chodziło, posiadał niestały charakter skłaniający się do wygodnego życia, a jedyną jego myślą prześladowczą była... szkoła! Źródłem tego dziwnego nastawienia nie był brak zdolności. lecz nieopanowana obawa przed egzaminami: w takich chwilach strach ściskał go za gardło, a wszystkie wiadomości, jakie pracowicie zdobył, rozpływały się poprostu w jego głowie.

Zaraz rozpoznałem powody: matka uważała, że powinna mu wygładzać drogi w szkole, to też robiła za niego zadania, gdy jego korepetytor był chwilowo nieobecny. To postępowanie pozbawiało powoli chłopca samodzielności i gdy musiał liczyć tylko na siebie, stawał się z powodu nieokiełznanego strachu przed egzaminami coraz bardziej nieporadny.

Nie powiedziałem tego wszystkiego oczywiście matce, lecz oświadczyłem jej krótko:

— Nie powinna pani pozwolić synowi na dalszą naukę, gdyż broni się on przed nią wszelkiemi siłami. Powodem nie jest brak zdolności, ale życie szkolne odbiera mu po prostu wszelką chęć do nauki.

Próbka pisma wyjęta była z pocztówki, która, pisana podczas wakacyj, w pełni letniego szczęścia, przepojonego zapachami drzew i kwiatów, zwrócona była do pewnej rówieśnicy. Należałoby się spodziewać, że nastrój piszącego był jaknajlepszy, tymczasem o zupełnem przeciwieństwie świadczyło samo pismo. Niezwykle charakterystyczną jego cechą jest brak konsekwencji: należy tu porównać literę „z" w próbce pisma w słowach „Lizzi, trotzdem, herzliche", oraz w słowie „Bozsi". Każda z nich inaczej jest napisana. Brak wyrównania w piśmie, niewykańczanie liter, niepokój, występujący zresztą przy równoczesnem pożądaniu spokoju, wyraża się bardzo dobitnie w tej małej próbce, co zresztą można stwierdzić w innych literach.

Matka potwierdziła moją analizę pisma i oświadczyła mi:

— Ma pan zupełną rację, twierdząc, że syn mój nie lubiał nauki. Przecież godzinę przed egzaminem skończył śmiercią samobójczą.

Powód samobójstwa pozostał dla rodziny tajemnicą i głowiono się nad jego wynalezieniem. Ja jednak mogłem matkę o tyle uspokoić, że jedynie ten nieopanowany i chorobliwy strach przed egzaminami i niechęć do nauki były powodem samobójstwa. — Wypadki podobne do powyżej opisanego, działają na mnie tem tragiczniej, iż uzmysławiam sobie, że można było uratować jedno życie ludzkie, gdyby pokazano mi pismo ofiary przed katastrofą.

* * *

W życiu każdego nieomal studenta zdarza się, że szkoła coraz mniej go interesuje, natomiast coraz więcej poświęca czasu temu wszystkiemu, co, w jego oczach, stanowi tytuł do „dorosłości". Rzadko jednak zachodzą wypadki, aby 16-letni gimnazjalista zmieniał aż cztery razy zakład naukowy, nie mogąc w żadnym z nich usiedzieć spokojnie.

Pełni troski zwrócili się do mnie rodzice tego „enfant terrible", gdyż od długiego czasu łamali sobie głowę nad tem, co mają z nim zrobić i jaki zawód mógłby być najwłaściwszy dla młodzieńca, którego wszystko interesowało prócz nauki.

Przedłożono mi fragment jego pracy szkolnej o Mozarcie. Rzuciwszy okiem na pismo poznałem odrazu charakter chłopca i określiłem go następująco:

„Chłopak jest niezwykle niegrzeczny, niespokojny, trudny do opanowania zarówno w szkole jak i w domu. Chętnie wdaje się w bójki z kolegami, a przed swymi nauczycielami niema najmniejszego poważania. Na napomnienia ich odpowiada impertynencko. Równocześnie jednak ma on w sobie coś z anachorety: często siada w kącie, z nikim nie mówi, nikomu nie odpowiada na pytania i zatapia się w różnych dociekaniach. Nie trwa to jednak długo: za chwilę może zmienić zupełnie usposobienie i stanie się wesoły. Nigdy jednak nie jest wesoły w szkole. Mało jest takich chłopców, którzyby tak bardzo nie znosili szkoły jak on, chociaż w początkach zdradzał normalne i dobre dyspozycje do nauki. Było to nie w jego pierwszem dzieciństwie, gdy był jeszcze zupełnie małym chłopcem, ale nieco później, kiedy przez kilka lat był wcale normalnym i dosyć pracowitym uczniem. W ostatnich jednak czasach wszelkie te dobre strony charakteru znikły najzupełniej: gra on z kolegami w karty, włóczy się po knajpach, a nawet się upija, o nauce oczywiście ani myśli.

Ze smutkiem potakiwali rodzice moim wywodom. Wszystkie szczegóły zgadzały się z faktami.

Lecz ciągnąłem dalej ponury opis życia tego dziwnego młodzieńca:

— Widzę z jego pisma, że poza tem o czem już mówiłem, również nie jest wzorowym synem i uczniem. Wynosi on z domu różne cenne przedmioty, wykrada książki z bibljoteki, zabiera obrazy ze ściany i srebro z kredensu. Następnie sprzedaje swój łup, aby móc się upić lub zapłacić swoje karciane długi.

— I to się zgadza, proszę pana, ale co mamy właściwie z nim zrobić? — zapytała matka.

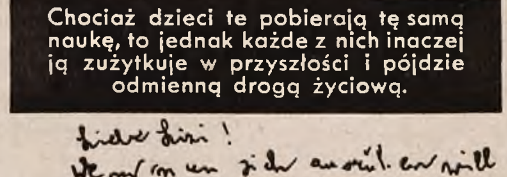
Słowa jej przerwał ojciec:

— Ileż razy dałem mu wskórę! Ale i to nic nie pomagało.

— Musi pan postępować z chłopcem zupełnie inaczej — zacząłem. Nie można go wprowadzać w podniecenie. Ma on wrażenie, że spotka u swych rodziców jedynie opór i to właśnie jest niedobre. Sytuacja-by się polepszyła, gdyby stosunek jego do rodziców był serdeczniejszy i gdyby miał do nich zaufanie, gdyż surowością niczego nie można u niego uzyskać. Ostrzegam państwa przed doprowadzeniem go do większego rozdrażnienia, gdyż może się zdarzyć, że zapominając o wszystkiem wyskoczy oknem, albo też ucieknie z domu i więcej nie powróci. Obawa przed ojcem jest u niego powodem, że często kłamie i od tego zaczyna się całe nieszczęście. Trzeba mu więc trochę pobłażać,



Chociaż dzieci te pobierają tę samą naukę, to jednak każde z nich inaczej ją zużytkuje w przyszłości i pójdzie odmienną drogą życiową.



Próbka pisma studenta, który był opanowany panicznym strachem przed egzaminami.

nie prześladować go pytaniami, tak, aby powziął wrażenie, że ma pewną swobodę ruchów. Z chwilą kiedy przekona się, że w domu nie czekają na niego jedynie przykre rozprawy z rodzicami, uspokoi się i w takich chwilach podda się wpływowi słów rodzicielskich. Mam wrażenie, że dobrze byłoby odebrać go ze szkoły, gdyż zainteresowania jego zwracają się raczej ku technice. Przypuszczam, że najlepszem by było, aby poświęcił się pracy przy fabrykacji radja, lub wogóle zajął się w przemyśle maszynowym.

I tym razem potwierdziła matka moje wszystkie przypuszczenia.

— Nie dalej jak wczoraj groził mi mój syn, że wyskoczy z okna na ulicę, lub też ucieknie i więcej się nie pokaże. Nie wiem naprawdę, co mam już czynić.

Odparłem na te słowa:

— Przedewszystkiem musi pani wkładać w swoje postępowanie dużo miłości. Chcąc powziąć jakieś decyzje, należy się wpierw z nim porozumieć. Niech pani mu powie, że są państwo gotowi zapłacić jeszcze raz opłaty szkolne, chociaż nauczyciel oświadczył, że chłopak się nie uczy i napewno przepadnie, ale mimo to radziłbym spytać się go, czy chce w dalszym ciągu zostać w szkole.

— Już się go o to pytałem — wtrącił ojciec. — Odpowiedział mi, że przecież nie koniecznie musi uczyć się w gimnazjum. Zdaje mi się, że pańska myśl oddania go do przemysłu maszynowego jest dobra. Ja sam jestem inżynierem i niedawno temu założyłem zakład, w którym przeprowadza się reperacje maszyn.

Nakoniec oświadczył mi ojciec swoją zgodę, aby syna zająć bądź-to w swoim zakładzie, bądź też postarać się, aby znalazł zajęcie u kogoś obcego.

Powyżej przytoczony wypadek nazwałbym nieomal klasycznym: ile takich drobnych z początku, ale wielkich w skutkach dramatów, rozgrywa się w różnych rodzinach! — Wzajemne niezrozumienie między młodszem i starszem pokoleniem jest nieraz tak głębokie, że jedynie osoba trzecia, orjentująca się w charakterze „pacjenta" może tutaj wskazać właściwą drogę i doprowadzić do szczęśliwego rozwiązania ciężkiego zagadnienia.

NIEZAŁATWIONE RACHUNKI

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

KARTKI Z PAMIĘTNIKA

Dopiero teraz, gdy mam tyle wolnego czasu, mogę i umiem zastanowić się nad moją przeszłością. Zdaje mi się, jakby cały ten czas, który nazwać można mojem życiem, był jakąś bezkształtną, dziwną bryłą. Dopiero teraz odnajduję w tej bryle pewne kontury, zarysy, wyraz. Mam wrażenie, jakby pamięć moja była wielkim workiem, do którego każdy dzień wrzucał po jednym fakcie, o którym potem zapomniałem, a który teraz dopiero umiem z niego wyjąć. Nie miałem dotychczas poprostu daru pamiętania, w znaczeniu wspominania rzeczy oderwanych, nie mających z bieżącem życiem nic wspólnego. O faktach konkretnych, ważnych z tych czy innych powodów pamiętałem, ale to było raczej rejestrowanie faktów praktycznych, a nie zgłębianiem przeszłości.

Przeszłość! Jakie to wielkie i mało zrozumiałe słowo. Niema bodaj logicznego pojęcia przeszłości, bo każda chwila bieżąca znów obraca się w przeszłość, każde dziś automatycznie staje się — wczoraj. I dziś dopiero, po tylu latach zastanawiam się nad tem, jakim jestem i kim jestem. Może to zdziwi kogo, ale mimo to twierdzę, że dopiero wniknięcie w tyle subtelnych, nieokreślonych nieraz odczuć, faktów, przeżyć, w tę całą gmatwaninę życiową, daje możność rekonstruowania samego siebie. Wtedy dopiero, zaczynając się obserwować jeszcze jako małe dziecko, szeregując to co o sobie z tych czasów wiemy, łącząc zasłyszane o sobie sądy z faktami, kojarząc anegdoty z dzieciństwa z realnemi zdarzeniami, można dojść do stworzenia sobie w pamięci własnej sylwetki.

Jakaż to pasjonująca praca! Ileż ciekawych rzeczy się odkrywa podczas takich poszukiwań! Ma się wrażenie, że odkopuje się jakieś zaginione miasto, jakąś nową Atlantydę czy Biskupin. Bo przecież tyle nowego materjału ujawnią nasze szperania po zakątkach pamięci, tak bardzo zaczynamy się różnić od tej postaci jaką, sterotypową, narzuciliśmy sobie sami.

Napewno odszukanie samego siebie niemniej jest emocjonujące jak badanie pacjenta. Doktór Herbert nie miał napewno tej satysfakcji, jaką ja mam codziennie, gdy prowadząc ze mną długą rozmowę badał wszystkie moje odruchy tak psychiczne jak fizyczne, gdy wypytywał mnie o moje upodobania, o antypatje, zdanie w takiej czy innej sprawie. Bo dla niego objekt badań był bądź co bądź obcy, jeden z tysięcznych pacjentów, gdy dla mnie jest on jedyny w swoim rodzaju. Emocjonuję się jak uczony, odkrywający nowy pierwiastek, gdy tak sam siebie biorę na spytki.

Ale nietylko siebie zacząłem badać: począłem sobie przypominać moje otoczenie w dawnych latach młodości, moich przyjaciół, rodzinę, najbliższych.

I poczyniłem przy tej sposobności dziwne odkrycie: również i to moje dawne otoczenie stało się dla mnie obce. Wszystkie postacie, które otaczały moją młodość, zatarły się w pamięci, lub przybrały stereotypowy, nudny, szablonowy wygląd. Każda z nich zyskała określenie jakie się nadaje ludziom, których się mało zna: babka musi być stara i zgięta we dwoje, wuj-kawaler dziwakiem, sensatem i zrzędą, rodzice albo dobrzy i bogobojni, o dawnych cnotach i zaletach charakteru albo też trzymający twardą ręką swe dzieci, nieustępliwi i nie rozumiejący młodego pokolenia.

Tymczasem okazuje się, że postacie, o których myślę i które wspominam, które ukazują się naraz z gęstwin moich wspomnień, były zupełnie odrębne, inne, nowe, nawet nieraz bardzo ciekawe. Ale aby to wszystko zobaczyć, trzeba być człowiekiem nietylko dorosłym; ale też znającym życie i umiejącym się w nie wmyślać. Młody chłopak sądzi powierzchownie, szablonowo: wystarczą mu ogólne zarysy, aby sobie upamiętnić tę czy ową postać.

Jak w najciekawszej księdze pamiętnikarskiej odczytuję życie moich najbliższych. Taki wuj Stefan naprawdę zainteresowałby swoim typem nawet Fredrę, tego świetnego psychologa i twórcę czy odtwórcę tylu charakterów ludzkich. Wuj Stefan przyjeżdżał do nas rzadko. Uważał swoje przybycie za pewnego rodzaju wyróżnienie, które należy umieć cenić. Był starym kawalerem, bogatym zresztą człowiekiem i zawsze niezadowolonym. Manja ta była u niego tak silna, że nieraz bywał smutny z tego powodu, że jest zadowolony mimo wszystko, gdy zaś następowała sytuacja odmienna, t. j. że coś go zirytowało, czuł niezwykłą chętkę okazania swej satysfakcji z tej konieczności irytowania się, ale to byłoby znów zaprzeczeniem całego jego charakteru. Rezultatem tego było, że wszystko i wszyscy obmierzli wujowi a on sam o sobie też nie miał zbyt dobrego zdania. Jak sobie dziś przypominam różne epizody z jego życia, gdy uzmysławiam sobie tę wysoką, chudą postać, z rękami założonemi w tyle, krzaczastemi brwiami, sumiastym wąsem i zmarszczonem czołem, zdaje mi się, że widzę jakąś żyjącą karykaturę człowieka. Był jednak w swej postawie bardzo, powiedziałbym, stylowy: wszystkie elementy tej postaci, tego charakteru zgadzały się ze sobą, były sharmonizowane. Był to przytem niezwykły despota, nie uznający nikogo i niczego, nie umiejący się poddać niczyjej perswazji, wpływom czy namowom. Uważał, że świat powinien się kręcić dookoła niego, a gdy tego nie czyni, wykazuje swoją głupotę i swój moralny upadek. Wuj Stefan zresztą skończył swe dziwne życie w sposób tragiczny: gdy przy obiedzie gospodyni nie podawała na czas jakiejś potrawy, zaczął na nią krzyczeć, przyczem dostał takiego ataku kaszlu, że umarł. Ale nawet umierając nie spuścił bynajmniej z tonu i umarł pełen pogardy, oburzenia i obrzydzenia do całego świata.

Innym typem, niemniej ciekawym, była ciotka Frania. Kiedyś niezwykle piękna, malowana przez sławnych mistrzów polskich i zagranicznych, kochana przez męża i jego rodzinę, mająca do rozporządzenia wszelkie rozkosze i powaby świata, ciotka Frania podobna była do człowieka, który stanął w swym rozwoju umysłowym na pewnym szczeblu i nie postąpił już naprzód. Mimo inteligencji, której nie można było jej zaprzeczyć, mimo pewnych zalet umysłu, technika jej myślenia była wadliwa. Ciotka nie umiała poprostu odpowiednio wartościować faktów, spraw, zagadnień. Sprawę kupienia kapelusza stawiała na tym samym poziomie co sprawę życia i śmierci; leczenie swego syna, który ciężko chorował na zapalenie płuc, a zagadnienie czy na obiad będzie barszcz czy też zupa pomidorowa napawały ją takim samym zapałem i namaszczeniem jak sprawa wydania zamąż swej córki. Ta dziwna, żeby się tak wyrazić płochliwość jej myśli, ten brak konkretyzowania zagadnień życiowych tworzyły nieraz sytuacje o tyle śmieszne, o ile niespodziewane i niesamowite. Ciotka Frania miała to nieszczęście, że wyszła zamąż za człowieka, który również w innem zresztą wydaniu nie był dostosowany do życia, traktował je lekko, jak pożyczony garnitur, który można każdej chwili odesłać i zmienić. Życie było dla niego jedynie pewnym określonym czasem, który można wykorzystać w celu zabawy, użycia, zakosztowania wszystkiego, co ludzie dotychczas wymyślili, celem rozrywki. Nie pytał się nigdy o cenę tych rozrywek, a nawet w głowie mu nie postało, że taka cena może istnieć. Nieraz zaziębiony wychodził zimą w niedopiętem futrze, lub rozpinał je naumyślnie twierdząc, że jest mu niewygodnie, gdy jest zapięte. Gdy mu zwracano uwagę na niebezpieczeństwo nabawienia się zapalenia płuc, zdawał się nierozumieć tego słowa, jakby ta choroba wogóle nie miała do niego dostępu. Tak minęło mu całe życie i sam nie wiedząc kiedy i jak umarł przez nieostrożność. Nie mając żadnego doradcy w życiu, ciotka Frania coraz bardziej utwierdzała się w swej dziwnej psychologji: doszło do tego, że nie rozróżniała już zupełnie rzeczy ważnych od błahych, nie wiedziała, jak należy postępować i co stanowi zagadnienie poważne, a co przemijającą efemerydę. Zajęta swemi strojami, swą pięknością, swemi rozrywkami, życiem towarzyskiem, coraz bardziej przypominała lalkę, którą nauczono mówić, ale która samoistnie nie umie wypowiedzieć ani jednego słowa. Gdy umarł jej syn, a córka popełniła samobójstwo, była tem może bardziej zdziwiona jak zmartwiona. Wierzyła, że dzieciom będzie lepiej na tamtym

Dokończenie ze str. 23-ej.

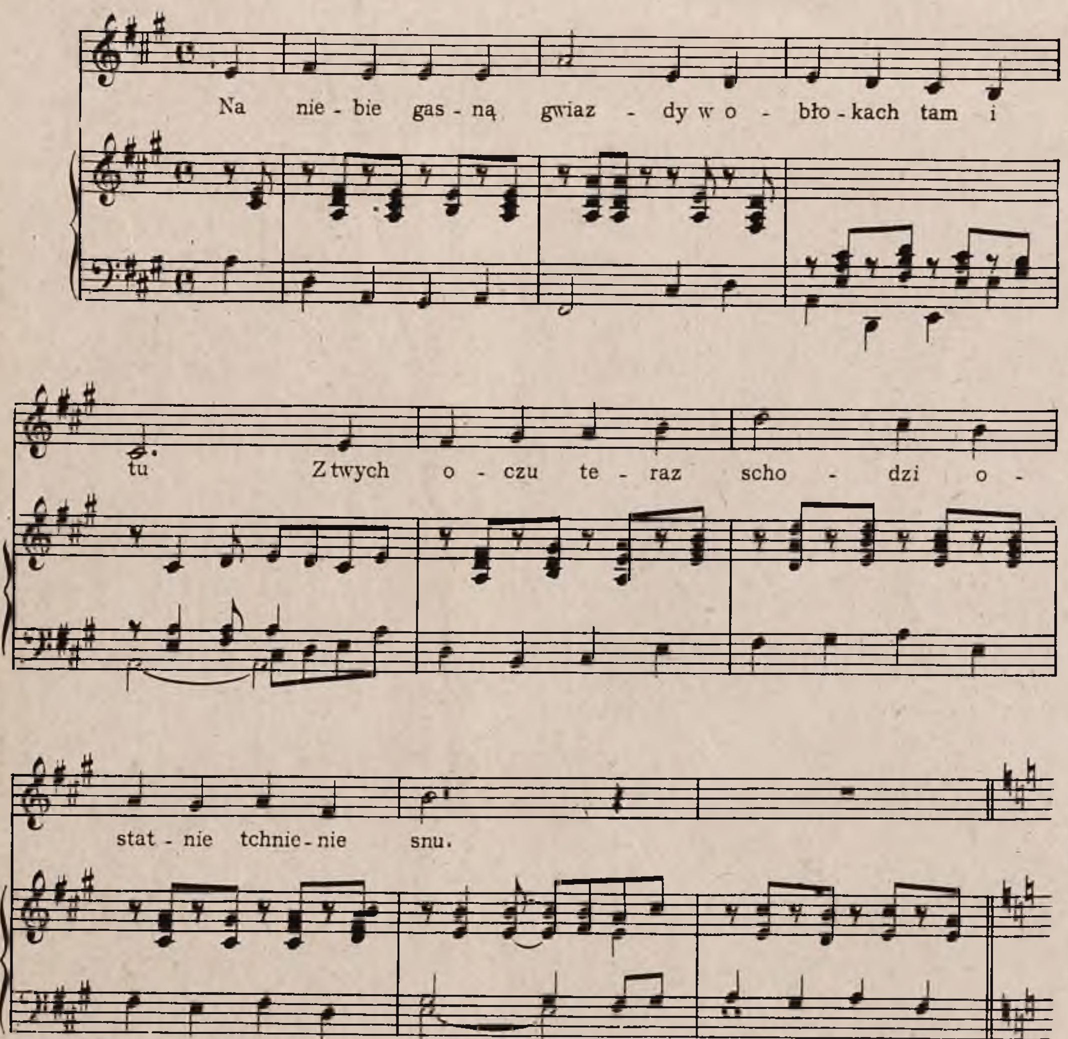


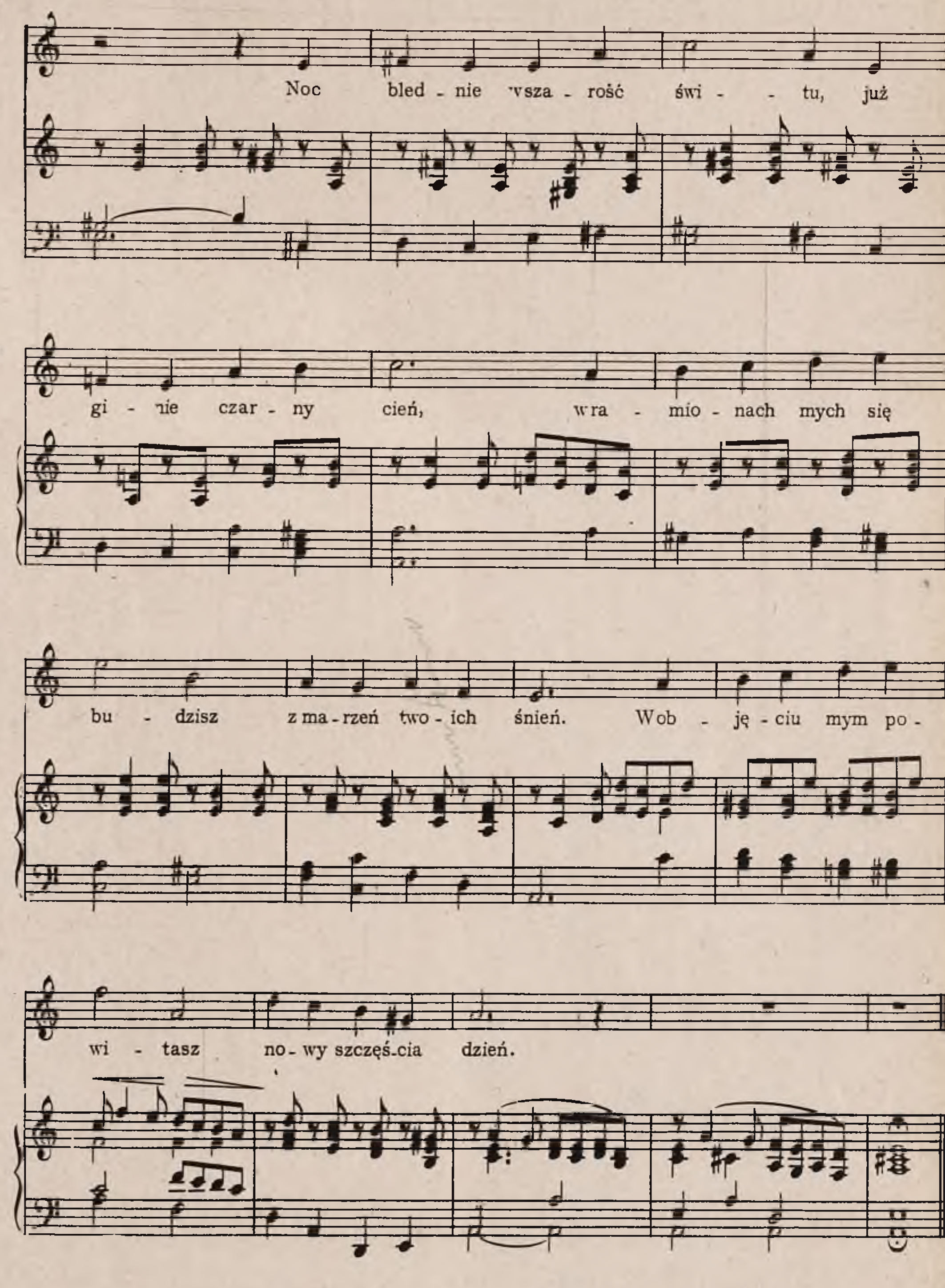
ŚWIATŁA I CIENIE
MOTYW Z BAZYLIKI WILEŃSKIEJ

Poranek

PIEŚŃ

Słowa i muzyka:
LUDWIK MASCHOFF





Dokończenie ze str. 20-tej.

świecie, ale zapewne nie z powodu wrodzonej religijności, ile z niemożności skupienia swego bólu na jednym przedmiocie i głębszego przeżycia tej straty.

W pamięci stają mi również postacie moich rodziców. Ojciec spokojny, jakby ważący w myśli jakąś ważną sprawę, nieco ociężały, małomówny, matka pełna temperamentu, chcąca wszystko przeprowadzić w jednej chwili, gwałtowna, w radości i smutku, energiczna, a raczej nerwowa, irytująca się łatwo małem niepowodzeniem. Gdy ojciec był urodzonym pesymistą i właściwie tylko dlatego wolno się poruszał i mało mówił, bo był zdania, że nawet najszybszy ruch i najlepiej powiedziane zdanie nie będzie miało żadnego znaczenia, bo nic się nie uda i wogóle szkoda się fatygować, matka moja obdarzona niezwykłą żywotnością, chętnie pod pierwszym lepszym pretekstem zajmowała się czemkolwiek, aby wyładować swoje siły żywotne, swój pęd samoistnego stanowienia o sprawach, na których zresztą po większej części się nie znała. Rodzice moi byli sobie o tyle obcy, że nigdy się nie rozumieli: każde z nich żyło w swej własnej fikcji, nie starali się przekonać nawzajem i nie mieli sobie absolutnie nic do powiedzenia. Każde z nich żyło swoim dworem, każde z nich uważało drugą stronę za godną pożałowania.

Pamiętam kiedy na wsi zaczęto budować nową stodołę. Moja matka uważająca, że zna się również na budownictwie, zabierała w tej sprawie decydujący głos, nie chcąc słuchać budowniczego ani nikogo z sąsiadów. Włożywszy w doglądanie robót bardzo wiele energji, a jeszcze więcej poświęciwszy na to pieniędzy, musiała w dwa lata później patrzeć jak budowla się rozpada, jak gniją belkowania dachu, jak cała praca idzie na marne.

I jeszcze inne postacie przesuwają się przed mą pamięcią: starej kuzynki mojej matki, nabożnej Maryni, złośliwej starej panny, która podobno, jak się dowiedziałem później, miała liczne przygody miłosne, o których chętnie opowiadała, łącząc dziwny, niesmaczny nabożny ton z pewną frywolnością, przypominającą nieomal wiek XVIII. Ciotka Marynia była osobą bardzo groźną dla nas dzieci: wszystkim zwracała uwagę, wszystko krytykowała i wydawała co do naszej przyszłości jak najczarniejsze horoskopy. Jedyną rzeczą, którą starała się zdobyć sympatję dzieci, były słodycze, które nam dawała pokryjomu, śmiejąc się złośliwie, jak to mogła czynić Ewa w raju, gdy skusiła jabłkiem pierwszego człowieka.

Myśląc o tych wszystkich postaciach, zadaję sobie nieraz pytanie: czy dzisiaj są tacy ludzie na świecie? Czy rasa tych dziwaków wyginęła, czy też należała do innego układu społecznego, innego świata, innego światopoglądu? Nie wyobrażam sobie, abym dziś mógł spotkać kogoś w tym typie: ale wnet sobie przypominam, że przecież trzeba z kimś żyć blisko i długo, aby móc poznać jego charakter, że więc napewno i dziś są tacy ludzie, tylko ich nie znam i nie widuję. Ale to samo pewnie będą opowiadać i inni o ludziach nam współczesnych.

Choć nie! Nie każda rodzina jest taka jak moja: niestety potwierdził to profesor Herbert, gdym pierwszy raz udał się do niego po poradę.

Ale to znów sprawa zupełnie odmienna. Gdy poznałem pewnego razu na dancingu Marję Kotwiczównę, zakochałem się w niej po same uszy. Była to pierwsza, spóźniona miłość, tem bardziej mnie więc wzięła w swe posiadanie. Patrzałem sam na siebie jak na obłąkańca, gdyż wiedziałem, jakie mam pod względem miłości zapatrywania, a mimo to ja, Andrzej Bończa, stałem się innym człowiekiem. Tłumaczyłem to sobie różnymi sposobami, ale wkońcu zmęczony tem, przyznałem się sam przed sobą, że tak widocznie musi być i na tem koniec. Pokochałem Marję nad wszystko: widziałem jej wady, ale właśnie one podsycały moją miłość, takie bowiem były urocze, nowe dla mnie i ciekawe. Uważałem ją wpierw za młodą pannę, dopiero później dowiedziałem się, że jest zamężna, ale z mężem nie żyje i zamierza się z nim rozwieść.

Wkrótce następowały coraz częstsze spotkania z Marją. Nie mogłem już bez niej żyć. Jakaś dziwna, bezcelowa może energja opanowywała mnie, czułem przypływ sił młodzieńczych, zapomocą których miałem zdobyć dla niej cały świat i położyć go u jej stóp. W niektórych wypadkach odnajdywałem w sobie usposobienie mojej matki, która niezmordowanie dążyła do jakiejś aktywności, pracy, zabawy, byle wykazać sama sobie jak bardzo silną jest i żywotną. Zacząłem przeprowadzać wielkie transakcje finansowe, marzyłem o zdobyciu dla Marji olbrzymiego majątku, odbywałem liczne konferencje z finansistami, zacząłem budować fabrykę w moim majątku, Marja słuchała o tem wszystkiem z wdzięcznością, gdyż wiedziała, że to dla niej. Oczywiście, że zabawy i wycieczki do licznych dancingów stolicy, kolacje z przyjaciółmi, nieprzespane noce i bale szły jedne za drugiemi. Nie widziałem kobiety, któraby lepiej znosiła zmęczenie spowodowane zabawą: Marja mogła nie spać literalnie kilka nocy z rzędu, gdy wiedziała, że znów czeka ją jakaś miła eskapada, przyjęcie towarzyskie, czy noc w dancingu. I ja w jej towarzystwie zatraciłem poczucie czasu, rzeczywistości, pieniędzy i moich możliwości życiowych. Zdawało mi się, że dostałem się w wir karnawału, który będzie trwał wiecznie. Po pewnym dopiero czasie, kiedy siły poczęły mi odmawiać posłuszeństwa, kiedy moje obliczenia wzięły w łeb a plany rozwiały się jak dymek z papierosa, uczułem pewne zmęczenie. Ale z uporem małego dziecka postanowiłem prowadzić dotychczasowy tryb życia dalej. Uważałem za niegodne składać broń przed zmęczeniem i chorobą, tem więcej, że Marja zapewniała mnie, iż rozwód będzie załatwiony wkrótce i będziemy się mogli pobrać.

I przyszedł pewien ranek, kiedy poczułem, niestety, że wszystkie moje zamiary należą do przeszłości. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu: byłem zupełnie przytomny, a mimo to nie mogłem sformułować logicznie myśli. Najprzód zacząłem przypominać sobie wczorajszy wieczór, chcąc dojść do sedna sprawy i stwierdzić poprostu, że nadużyłem alkoholu i dlatego odczuwam teraz zgubne jego skutki. Okazało się jednak, że właśnie tego dnia prawie nic nie piłem i wróciłem zupełnie trzeźwy do domu. Mimo, że mogłem to skonstatować na podstawie mych wspomnień z poprzedniego wieczoru, myśli w dalszym ciągu kołowały jak obłok, których konturów nie można określić, bo się rozpływają, zmieniają i nie mają stałej postaci. Dla próby zacząłem zastanawiać się nad codziennemi, zwykłemi sprawami: jak uczeń w szkole starałem się określić pewne rzeczy, przedmioty, fakty. I z coraz większem przerażeniem stwierdziłem, że myśli moje są nieuchwytne, biegną w niewiadomym kierunku, rozwiewają się, gmatwają, nie przyjmują logicznej formy. Uczucie to było tak dziwne, że przez chwilę mnie nawet bawiło, wkrótce jednak doszedłem do przekonania, walcząc resztką świadomości z tym strasznym stanem, że coś musi być w nieporządku, trzeba zawezwać lekarza.

W ciemnym pokoju, do którego ledwo trochę światła wpadało przez zapuszczone rolety, zjawił się znany lekarz chorób nerwowych profesor Herbert. Badanie przeprowadzał najprzód drogą swobodnej rozmowy, w miarę nawet wesołej i miłej. Kazał sobie opowiadać różne rzeczy, pytał o moją przeszłość, o moje obecne życie i plany. Odpowiadałem z lękiem, bojąc się powiedzieć jakieś głupstwo, powoli. Gdy przeszedł następnie do badania mego stanu fizycznego, odetchnąłem: mogłem przynajmniej milczeć i nie byłem wystawiony na kompromitację. Straszne było to uczucie niższości wobec tego człowieka, który musiał w duchu śmiać się ze mnie.

— Czy nie miał pan w rodzinie osób nerwowych? — zapytał, spoglądając na mnie z za swych błyszczących okularów w złotej oprawie.

Opowiedziałem mu szczegóły o wuju Stefanie, rodzicach, ciotce i kilku innych krewnych.

— Jest pan na tyle zdrów i zdolny rozumieć moje słowa, że mogę panu powiedzieć, iż grozi panu obłęd, o ile pan nie zacznie żyć normalnie i nie podda się dokładnej i bardzo ciężkiej zresztą kuracji. Na podstawie pewnych rodzinnych predyspozycyj ma pan tendencję do rwania logicznego biegu myślenia. Pomaga w tem jeszcze pańska wybitna inteligencja, zdolność odtwarzania sobie z fantazji pewnych faktów i tworzenia w miarę potrzeby nowych. Pańscy przodkowie byli ludźmi nerwowymi, nienormalnymi, jednostronnie wyrobionymi duchowo przy zupełnie zaniedbanych innych stronach charakteru. Tryb pańskiego życia przyspieszył proces rozwoju tych pewnych zadatków. Przeskakiwanie z tematu na temat, tendencja do rozwijania swej aktywności w kilku kierunkach naraz, nie dla zdobycia upatrzonego celu, ale dla zadokumentowania sobie swych możliwości czynu, jest u pana chorobliwa. W pańskiej myśli biegną tysiączne linje równolegle do siebie, i żadna z nich nie łączy się logicznie z następną: dlatego brak konsekwencji w pańskich czynach.

Słuchałem tych słów przygnębiony. Ale nawet wtedy sens ich ulegał w moim umyśle zmianom, które czyniły z nich coś zupełnie innego, coś znacznie oryginalniejszego i dziwnego.

— Cieszę się zresztą, że los mnie do pana zaprowadził! — dodał z gorzkim uśmiechem doktór Herbster.

— Dlaczego, panie doktorze? — zapytałem.

— Bo Marja Kotowiczówna, którą chce pan zrobić swą żoną jest właśnie moją żoną! Opuściła mnie, choć ją kocham nad życie i nie wiele brakowało, a byłaby stała się pańską towarzyszką życia. Byłoby to największe nieszczęście tak dla niej, jak też dla pana!

Nie wiedziałem, co mam mu na to odpowiedzieć. Dziwnem było przytem to, że wspomnienie Marji bynajmniej mnie nie wzruszyło: myślałem o niej jak o osobie wprawdzie znajomej, ale najzupełniej obojętnej.

Doktór Herbert siedział naprzeciwko mego łóżka i wpatrywał się we mnie.

— Jestem lekarzem i szanuję mój zawód i moje powołanie, ale mimo to nie pozwolę i nie dopuszczę, aby pan myślał dalej o małżeństwie z Marją. Jeżeli panu życie miłe, a przypuszczam, że tak być powinno, to zapomni pan o tym całym epizodzie. Marja wróci do mnie i będzie nadal szczęśliwa, pan zaś będzie się leczył, gdyż inaczej umrze pan już za życia.

Zdjął okulary i począł je wycierać chusteczką.

— Rodzina stanowi jedną zwartą całość: jeżeli ktoś z przodków zaciągnął długi wobec życia, ludzi, swego sumienia, muszą nieraz płacić je jego potomkowie. Takie jest już prawo życia i prawo natury. Ktoś kiedyś musi wyrównać dług nawet nie przez niego zaciągnięty. W pańskim wypadku skrupiło się to na panu. Trudno! Trzeba skwitować z chorobliwych inklinacyj, które zresztą w dużej mierze wypływają z uporu, z ambicji odróżnienia się od innych ludzi, a wtedy wszystko może powrócić do normalnego stanu rzeczy.

— — — — — — — — — —

I dziś, gdy rozmyślam nad moją przeszłością, gdy przypominam sobie twarze moich bliskich, zadaję sobie ciągle pytanie: czy ten przed generacjami przez niewiadomo kogo zaciągnięty dług nie przekroczy moich możności i czy kiedy jeszcze spojrzę na świat jak zupełnie zdrowy człowiek?

FABRYKA ZŁUDZEŃ

— Pojdziesz, duszko, do kina?
— A co grają?
— Wielki film historyczny. Realizacja kosztowała 5 miljonów dolarów. Piszą, że aby nakręcić ten film, musiano wybudować całe miasto średniowieczne!

„Duszka" jest oczarowana i chętnie zgadza się na propozycję swego towarzysza. W kinie przeżywają wielkie wzruszenia. Miasto średniowieczne istotnie wygląda, jak prawdziwe i „jak nowe". I nawet przez myśl obojgu nie przejdzie, że zdjęcia perspektywiczne tego wspaniałego miasta, to zdjęcia makietek, zdjęcia miasta w skali może 1 do 1000, w którem mogłyby mieszkać conajwyżej małe laleczki. A niektóre prawdziwe kamienice, przed któremi rozgrywa się akcja, to domki potiomkinowskie — same tylko fronty...

Z olbrzymiej sali koronacyjnej istniał tylko przez czas krótki niewielki fragment, wybudowany naprędce w atelier. I film napewno nie kosztował pięć miljonów dolarów. Ale to nieważne, gdyż idzie przecież tylko — o złudzenie!

A złudzenie było wywołane znakomicie i nawet najbystrzejsze oko nie wykryło mistyfikacji.





Dobra żonusia niesie dla męża filiżankę aromatycznej, gorącej herbaty... W fabryce złudzeń parę wonnego napoju zastępuje dym z niedopałków.





„Czułe sam na sam" w atelier filmowem nie należy do przyjemności, gdy się jest otoczonym sztabem operatorów i reżyserów i w dodatku siedzi się w wybitnie niewygodnej pozycji...





Powabna poza pani, która wybiera się na bal, została z trudnością uzyskana przy pomocy licznych skomplikowanych podpórek.

Wytwórnie filmowe, to wielkie fabryki złudzeń. Dekoratorzy, inspicjenci i operatorzy, to klika niewinnych oszustów, którzy na każdym kroku popełniają drobne — że użyjemy tego popularnego dziś słówka — „kanty".

— Nareszcie sami! — mówi uszczęśliwiony amant.

— Źle! — krzyczy reżyser. — Powtórzyć!

„Sami" są bowiem otoczeni sztabem operatorów, reżyserów, dekoratorów i robotników, czekających na każde skinienie, by drobnem oszustwem pomóc prawdzie — żeby scena wypadła naturalniej. A więc: poco zakochany młodzieniec ma trzymać najdroższą na rękach, jeśli może ona usiąść sobie wygodnie na drabince? Dla widza — efekt ten sam, a gwiazdor oszczędzi wiele wysiłku, tembardziej, że napewno scenę trzeba będzie powtórzyć kilka razy...

Uciekający w aucie gangster nie ryzykuje bynajmniej życia. Siedzi sobie spokojnie w aucie, a tylko krajobrazy pędzą w oszałamiającem tempie. Są to niekiedy stare „trick'i", znane jeszcze z poczciwego teatru, ale są też efekty typowo filmowe. Spójrzmy chociażby na tę uroczą blondynkę niosącą filiżankę gorącej herbaty. Widocznie przekonano się, że dym z wrzuconych na dno papierosów wypadnie efektowniej, niż autentyczna para — i bez wahania popełniono to małe oszustwo.

— I love you! — mówi amant, przyciskając czule do „wzruszonej" piersi piękną dziewczynę.

Ale co się dzieje w jego sercu? Gdyby mógł być szczery, obrzuciłby uroczą panienkę całym słownikiem grubych wyrazów. Bo to wyznanie musi powtarzać nieraz dziesięć razy, siedząc w najniewygodniejszej w świecie pozycji, w tropikalnym upale, wywołanym żarem, bijącym od „jupiterów" — aby wreszcie zadowolić kapryśnego reżysera.

Było to jeszcze w epoce, kiedy film nazywano „Wielkim Niemową". (Nawiasem mówiąc, dziś możnaby go nazwać „Wielkim Gadułą"!) Komuś wpadło do głowy, żeby zaprosić do kina pewnego głuchoniemego. Z początku głuchoniemy z zainteresowaniem obserwował akcję i wyrażał wielkie zadowolenie. Ale nagle w pewnej chwili zaczął się strasznie irytować i wybiegł z sali kinowej, mimo, że film się jeszcze nie skończył.

— Co się stało?...

Głuchoniemy wyjaśnił swą mimiczną mową, że oburzyła go nieuczciwość artysty, grającego główną rolę. Otóż napisy wyjaśniały, że bohater filmu mówi do ukochanej:



Krzepki „Wielki chłopiec z Montany", czy z innego Texasu, „porywa" na ręce ukochaną. Jak widzimy, zadanie ma ułatwione, gdyż jego ukochana siedzi sobie spokojnie na drabince...



Na lewo: Czy widzieliście tak piękną parę nóżek? Aby nogi tej gwiazdy „wyszły" jak najlepiej, biedna artystka musiała przybrać bardzo niewygodną pozę.





— Kocham cię, najdroższa i kochać cię będę do ostatniego tchnienia!

A z ruchów ust romantycznego kochanka nasz głuchoniemy „wyczytał" co innego. Oto amant powiedział:

— Jak pani jeszcze raz przed nakręcaniem sceny miłosnej zje kanapkę ze śledziem, to jakem dobry, zrobię pani ordynarną awanturę!

Autentyczne! Taka historja nie mogłaby się jednak wydarzyć dzisiaj, w epoce filmu dźwiękowego. Ale też film dźwiękowy dał „oszustom z Fabryki Złudzeń" nowe pole do popisu... Wywołujący dreszcz grozy ryk lwa — imituje poczciwy imitator, szum rzeki, to dosłownie burza w szklance wody, — grzmoty znakomicie naśladuje głos kotłów. Podobno niezadługo będziemy mieli filmy „zapachowe". Ciekawa rzecz, czy i tu niewyczerpana pomysłowość „oszustów" z Hollywood, Londynu, Berlina, Paryża i Warszawy każe nam wdychać fałszywy zapach fiołków i podrabianą woń lasu? Ba, zgóry można powiedzieć, że tu mistyfikacje będą najczęstsze i najbardziej zdumiewające. Ale nie gniewamy się przecież na tych prestidigitatorów z Fabryk Złudzeń. Gdy zagasną światła w sali kinowej i na srebrnym ekranie ukażą się pierwsze sceny d o b r e g o filmu — poddajemy się bez wahania magji teatru braci Lumière i przebaczamy wszystkie zakulisowe sztuczki jego aktorom...

„Autentyczny świat", bez retuszów, upiększeń i „ersatzów", widzimy w kinie właściwie tylko na zdjęciach, dokonywanych dla „tygodników dźwiękowych". Tam naprawdę oglądamy katastrofę okrętu, a nie maleńkiej makietki, czy też starego grata, poświęconego dla filmu. Widzimy autentycznych wielkich ludzi, a nie ich sztucznych sobowtórów, Paryż jest tu Paryżem, Wiedeń Wiedniem i niefałszowane Hawajki tańczą swoje hula-hula... Można jeszcze dodać tani dowcip z cyklu dowcipów „na P. A. T.'a", że jeśli chodzi o polski tygodnik dźwiękowy — to autentyczny wojewoda przecina prawdziwą wstęgę, na otwarciu prawdziwej wystawy drobiu...

Bogdan Brzeziński.

Na prawo: „Pani w futrze" narzuciła ciepłe okrycie tylko z polecenia reżysera i bynajmniej nie chętnie, gdyż w wytwórni panuje niesamowity upał i pod futrem „gwiazda" ma tylko... kostjum kąpielowy.





3: Zwracanie głowy na prawo i lewo z pozycji leżącej.

★

4: Wyciąganie szyji i brody ku górze.

★

5: W pozycji leżącej na brzuchu unosimy głowę ku górze, obracamy ją, dotykając końcem brody prawe i lewe ramię.

★

6: Stojąc, poruszamy szybko głowę w prawo i lewo.





1: Skłon głową wstecz z pozycji leżącej na wznak bez oparcia pod głową.

2: Pochylenie głowy ku przodowi z tej samej pozycji co poprzednio.



10 minut gimnastyki porannej

★

Ćwiczenia mięśni szyji, karku i brody

O linje szyji dbać winny przedewszystkiem kobiety, odsłaniające zazwyczaj a przy obecnej modzie w szczególności, szyję, kark, a często ramiona i plecy.

Jakże częste są brzydkie defekty, możliwe nawet do usunięcia przy umiejętnych zabiegach, a umiejscowione szczególnie na karku lub na szyji, która straciwszy po zwiotczeniu mięśni właściwy podkład, obwisa fałdami skóry! Niemniej często uderza oko widok obrośniętego tłuszczem karku, tłuszcz bowiem lubi się gromadzić przy pierwszym kręgu szyjnym.

Czy przy takich warunkach można marzyć o estetycznych ruchach, łatwości poruszania głową i ogólnym wdzięku postaci?

Nie! Ale można natomiast cierpliwem ćwiczeniem znacznie poprawić zaniedbania, wielu nawet lat.

Ćwiczenia te wykonujemy przeważnie w pozycji leżącej, opierając łopatki na kraju np. sofy, a pozostawiając głowę bez oparcia. Głowa uzależniona jest wówczas całkowicie od szyji, ale nie naciska na nią przytem w ten sposób, jak to jest konieczne przy pozycji stojącej.

Dopiero po szeregu ćwiczeń w pozycji leżącej, ostatnie ćwiczenia wykonuje się stojąco.

Ćwiczenie I: Leżąc na wznak z głową poza oparciem opuszczamy ją w tył i wolnym ruchem unosimy ją do góry, poczem znów szybkim ruchem pozwalamy jej opaść w dół.

Ćwiczenie II: W tej samej pozycji z opuszczoną głową, podnosimy ją ku górze i obracamy kolejno na prawo i na lewo, w ten sposób, aby koniec brody dotknął raz prawego raz lewego ramienia. Po kilku obrotach, skłaniamy głowę raz w prawo raz w lewo.

Ćwiczenie III: Leżąc jak poprzednio, opuszczamy głowę w tył i unosimy ją ku górze, wyciągając przytem szyję możliwie wysoko w stronę sufitu.

Ćwiczenie IV: Kładziemy się na brzuchu, w ten sposób, aby głowa znajdowała się bez oparcia. Szybkim ruchem opuszczamy ją w dół a następnie kurcząc silnie mięśnie karku, unosimy ją ku górze. Po kilkakrotnem przećwiczeniu unosimy głowę i obracamy szyję, aby brodą dotknąć raz prawego raz lewego ramienia.

Ćwiczenie V: W pozycji stojącej wprawiamy szyję w ruch, obracając tym sposobem głowę wokoło jej własnej osi.

Ćwiczenie VI: Stojąc zwracamy głowę na prawo i na lewo, wykonując głęboki wdech i wydech.

Vera.

ŻYCIE ARTYSTYCZNE

WIECZÓR SZOPENOWSKI W POZNANIU





Niezwykle ciekawa impreza muzyczna odbyła się ostatnio w empirowej sali napoleńskiej urzędu wojewódzkiego w Poznaniu, w której przed 100 zgórą laty koncertował u namiestnika. ks. Antoniego Radziwiłła Fryderyk Szopen. Tym razem interpretatorem genjalnego muzyka był Henryk Sztompka (na zdjęciu na lewo), który zyskał raz jeszcze pełny sukces, budząc szczery entuzjazm dla dzieł wielkiego muzyka, a uznanie dla swej świetnej interpretacji. Koncert szopenowski był nietylko imprezą artystyczną, ale stał się również ewenementem towarzyskim, gdyż cały high-life poznański zgromadził się w sali województwa. Honory domu robił wielce popularny wojewoda poznański płk. Artur Maruszewski, który był też inicjatorem wieczoru. Stanisław Wasylewski wygłosił wstęp z znaną sobie maestrją słowa, wprowadzając słuchaczy w stylowe ramy miejsca, które odwiedził Napoleon I w drodze na Moskwę. Witold Hulewicz (na zdjęciu na prawo) zaś wypowiedział ciekawy odczyt o Szopenie. — Wśród obecnych wymienić należy m. in. ks. Marję Zdzisławową Czartoryską, prez. Żychlińską, prez. Lipskich, prof. Dembińskiego, senatora dr. Sejdę i wielu innych.

Fot. „As".

MŁODOCIANA GWIAZDKA POLSKIEGO EKRANU



Jeżeli Hollywood posiada swoją uroczą Shirlejkę, to i Polska może się poszczycić gwiazdką mniejszego może kalibru, ale jak najlepiej się zapowiadającą. Jest nią 5-letnia Wiesia Świątnicka, która dobrze jest znana warszawskiej publiczności z jej występów na scenach teatrów warszawskich. Wiesia ma za sobą „poważny" dorobek artystyczny, gdyż występowała m. in. w teatrze Kameralnym w „Współczesnych", w Teatrze Polskim w „Małej Dorrit", w Wielkiej Rewji w farsie „Opiekuj się Amelją" i in. Przedewszystkiem jednak grała Wiesia Świątnicka, mając ledwie 3 lata w filmie „Za zasłoną", rozpoczynając w ten sposób swoją karjerę filmową, która napewno stanowić będzie dla niej wdzięczne pole rozwinięcia swoich wrodzonych zdolności. Pomimo swego młodego wieku jest ona „głową rodziny", utrzymując ze swych zarobków scenicznych matkę. W pierwszym rzędzie warto podkreślić niezwykłą naturalność małej gwiazdki, zyskującą szczere sympatje publiczności.

Fot. „As".

ZE SCENY CZĘSTOCHOWSKIEJ





Miejski Teatr w Częstochowie wystawił ostatnio kilka ciekawych i nieraz trudnych sztuk, wywiązując się z tego zadania ku pełnemu zadowoleniu publiczności. Zespół teatralny w Częstochowie posiada m. in. dwie wybitne siły, a mianowicie Irenę Tomaszewską, która ostatnio odniosła rzetelny sukces w „Pigmaljonie" B. Shawa, oraz „Subretce" Devala i Artura Młodnickiego, który kreował tytułową rolę w sztuce „Jan", a w „Subretce" rolę syna Carringtona.

Fot. „Sztuka" — Częstochowa.



Sportowy kapelusik słomkowy z barwną kokardą z tyłu.



W kole: Wiosenny kapelusz z grubej słomy przybrany aksamitem.



Popołudniu nosi się kapelusz z drapowanego jedwabnego jersey'u z fantazyjnie upiętą woalką.



Szykowny „canotier" przybrany błękitną słomką i wstążkami.

Wiosenny kapelusz

Wiosenny kapelusz to przedewszystkiem symbol — pierwszy zwiastun nowego sezonu — herold ogłaszający w skróceniu najnowsze wyroki mody. Toteż oczekujemy z ciekawością na jego zjawienie się, witamy go zaś z pełnem zainteresowaniem.

Cóż nam w tym roku przynosi za wieści z zaczarowanego światka kobiecej mody? Jakie nam daje wytyczne, jakie proponuje sugestje?

Wiosenne kapelusze 1939 mówią nam przedewszystkiem, że moda nowego sezonu będzie dla nas łaskawa: wdzięczna, twarzowa, odmładzająca i urozmaicona. Nie odstępując od ostatnio przyjętej linji „historycznej", czerpie garściami pomysły z przeszłości, wzorując się na różnych stylach i epokach. Lubuje się w kolorach, w barwnych dodatkach i przybraniach, stroi w wuale, riusze, wstążki, pióra i kwiaty.

Kapelusze na nowy sezon dzielą się na dwie zasadnicze kategorje: pierwsza to serja zupełnie czoło odsłaniających „kapotek" à la Madame Tallien, druga — to małe i duże miseczki, talerze, a nawet tacki, opadające figlarnie na czoło i jedno oko, odsłaniające wzamian całą fryzurę. Co kto woli, w czem komu bardziej do twarzy i — do uczesania!

Pierwsza kategorja to głównie kapelusze strojniejsze, popołudniowe i wieczorowe: mogą być ze słomki lub filcu, z koronki, włósia lub jedwa-



Na lewo: Nieco dziwaczny wygląd ma ten modny zresztą cylinderek z miękkiej słomki ozdobiony skrzydełkiem.

biu. Zdobią je wstążki wiązane, staroświeckie, pod brodą, kolorowe wualki, kwiaty, a nawet — pomysł oryginalny i stylowy: sznur pereł, zakańczający brzeg „kapotki" wieczorowej. Ale ten typ kapeluszy nadaje się tylko dla twarzy zupełnie młodych, o regularnym owalu: wszystkie buzie, grzeszące zbytnią pulchnością i okrągłością muszą się go wyrzec w imię dobrego smaku. Pamiętajmy o tem!

Drugi typ tegorocznych kapeluszy wiosennych znajdzie napewno szersze zastosowanie, nadaje się bowiem niemal dla wszystkich twarzy i dla każdego wieku, oczywiście z pewnemi modyfikacjami. Harmonizuje równie dobrze z fryzurką podczesaną z tyłu do góry, jak i z uczesaniem w nisko na kark spadające loki. Daje przytem pole do ogromnej rozmaitości fasonów: raz będzie to duży i płaski model talerzowaty, przybrany pękiem kwiatów i wstążkami lub aksamitkami, wiązanemi z tyłu na włosach, drugim razem przybierze postać zawadjackiego kapelusika cowboy'skiego z zabawną szpiczastą główką, lub też bretonki o okrągłem odwiniętem wokół rondzie. Często jest to miseczka o lekko podwiniętych brzegach, silniej z tyłu, mniej z przodu, wypełniona pękiem kwiatów, lub lekkiem „chou" z kolorowej, często w barwne groszki — wualki. Na popołudnie, a przedewszystkiem na wieczór, typ ten zredukujemy do kawałeczka filcu lub słomkowej tkaniny, będącego podstawą dla całego ogródka kwiatowego, a nawet zadowolimy się pękiem rozmaitych kwiatów wiosennych, jak pierwiosnki, konwalje i fiołki, który umocujemy na fryzurze przy pomocy dwóch kolorowych aksamitek, związanych z tyłu i opadających na szyję dłuższymi końcami. Jedna z tych aksamitek może być np. „vieux rose" druga zaś „bleu lavande", albo jedna brązowa a druga zielona.

Do angielskich kostjumów i płaszczy nosić będziemy kapelusze oczywiście powściągliwsze i bardziej surowe w linji i przybraniu. Pozostaniemy wierne ładnym, cienkim filcom, o fantazyjnie podgiętem z jednej strony lub od tyłu rondzie, o zgrabnie udrapowanej i zmiętej główce, przybranym paletą, skrzydełkiem lub szykowną kokardą z „gros grain". Jeśli wolimy słomkę, wybierzemy jakiś zgrabny fasonik z bakou lub manilli, ozdobiony odmiennej barwy lamówką z rypsowej wstążeczki, albo też tak młodo wyglądający canotier ze słomki w dwóch kolorach, lub z grubej słomy naturalnej, opasany wstążką w szkocką kratę lub kolorowe pasy.

Poniżej: A oto kapelusz z egzotycznej słomki niebieskiej z ciemniejszem obszyciem, przypominający kapelusze amerykańskich cow-boyów.





Jednakie kwiaty przy sukni i na kapeluszu — oto hasło tegorocznej mody wiosennej.



Kwiaty stanowią główną ozdobę tego wiosennego kapelusza, który nosi się z woalką zakrywającą całą twarz.



Do przedpołudniowych kompletów nosimy kapelusze z filcu, przybrane atłasową wstążką. Rysunki: Ewa Leo.

Pierwsze słoneczne wiosenne dni pokazały nam w Paryżu typowe dla tego sezonu kapelusiki z białej piki lub białego „gros grain", przybrane kwiatami z tegoż materjału o pręcikach kolorowych, dostosowanych do koloru wualki. Widuje się również dużo kapeluszy granatowych, przybranych białą piką, którą to kombinację odnajdujemy także i w sukniach i kostjumach, a nawet płaszczach wiosennych. Dawno już paryżanki nie sprzeniewierzyły się w tym stopniu ulubionej przez nie kombinacji czarnego z białym, na korzyść grantowego i białego koloru.

Jeśli mowa o kolorach, to nigdy nie widzieliśmy na kapeluszach takiej ich obfitości i rozmaitości, co tej wiosny. I to nietylko w przybraniach, lecz i w samej słomce, filcach i jersey'ach, oraz zamszach. Nosi się

Dokończenie na str. 31-ej.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA Z WINA OWOCOWEGO. Pół litra wina jabłecznego lub innego owocowego miesza się z pół litrem wody i sokiem z połówki cytryny. Proporcja wina i wody może być oczywiście dowolna, — zupa może być równie dobrze sporządzona z wina nierozcieńczonego wodą. Dalsze dodatki do zupy będą: kawałek skórki cytrynowej i cynamonu, oraz 2 goździki. Wino z dodatkami gotuje się przez 15 minut, poczem wyjmuje się korzenie i podprawia zupę dwoma żółtkami utartemi z paru łyżkami cukru i łyżeczką mąki ziemniaczanej. Wino należy wlewać do żółtek ostrożnie, tj. mieszając, aby się żółtka nie ścięły, następnie stawia się zupę na ogniu i ubija spiralką tak długo, aż się utworzy piana i zupa się zacznie podnosić. Należy ją natychmiast rozlać do filiżanek i podać z biszkoptami.

SOS ŚLEDZIOWY. Do kotletów ziemniaczanych stosuje się pikantny sos sporządzony w ten sposób: dwa śledzie beczkowe wymyte i oczyszczone ze skórki i ości, sieka się drobno, wkłada do ryneczki, dodaje utartą na tarle cebulkę oraz kieliszek kwaśnego wina lub octu winnego, zagotowuje i odstawia. Zasmażkę, sporządzoną z łyżki masła i mąki, rozprowadza się 1/4 litrem śmietany, rozkłóconej z żółtkiem, dodaje łóżkę siekanych kaparów, miesza z poprzednio podgotowanym śledziem, kontroluje smak czy nie zbyt ostry, ewent. łagodzi szczyptą cukru, lub też zaostrza białym pieprzem i zagotowuje szybko wszystko razem, mieszając, aby się nie tworzyły grudki.

PRZYSTAWKA Z RESZTEK RYB LUB MIĘSA. Blaszane foremki łódeczkowe niezbyt wysokie, wykłada się kruchem ciastem sporządzonem z 15 dkg mąki, 10 dkg masła, łyżki kwaśnej śmietany i szczypty soli. Ciasto szybko zagniecione, powinno leżeć przez pół godziny przed użyciem, w chłodnem miejscu. Foremki należy wysypać sypką mąką przed nałożeniem ciasta. Upieczone łódeczki wykłada się ostrożnie na płytę, odwraca je dopiero po wystudzeniu, gdyż ciepłe łatwo się kruszą. Do napełniania użyć można drobno posiekanej gotowanej ryby, lub też mięsa z drobiu lub pieczeni zmieszanej z następującym gotowanym majonezem: 2 żółtka, 4 łyżki oliwy, 4 łyżki mocnego rosołu, łyżkę octu lub soku cytrynowego, łyżeczkę musztardy i troszkę soli, ubija się najpierw na zimno, potem na ogniu, wstawione do drugiego naczynia z gorącą wodą, dopóki sos dobrze nie zgęstnieje, wtedy miesza się go z posiekaną rybą, wzgl. mięsem i po zupełnem wystudzeniu napełnia się tą masą również wystudzone kruche łódeczki. Po wierzchu przybiera się przystawkę kaparkami, paseczkami sardelek i zieloną pietruszką.

OSTRE PLACUSZKI SEROWE DO HERBATY. Po 6 dkg różnych ostrych serów np. roquefort, camembert, ementaler i eidamer (dwa ostatnie zmielone) oraz 12 dkg masła, 12 dkg mąki i 1—2 żółtek zagniata się szybko na ciasto i odstawia je na godzinę do lodu, aby stężało. Wywałkowane na grubość grzbietu noża wycina się foremką w półksiężyce lub placuszki, smaruje rokłóconem jajkiem, posypuje parmezanem i piecze w gorącym piecyku do blado-złotego koloru.

DOBRA PASTA DO KANAPEK. 10 dkg bryndzy lub ostrego miękkiego sera, 10 dkg szynki i tyleż kiełbasy, 2 jaja na twardo ugotowane i śledzia pocztowego oczyszczonego z skórki i ości miele się dwa razy w młynku od mięsa i miesza z 10 dkg masła deserowego, roztartego poprzednio dokładnie z łyżką oliwy, łyżką musztardy i surowem żółtkiem. Kanapki nałożone pastą, przybiera się kaparami, sardynkami itp.

SUFLET PONCZOWY. 9 dkg cukru i 6 żółtek uciera się na pianę, poczem dodaje się sok z całej cytryny i dużej pomarańczy, 2 łyżki rumu i troszkę cienko pokrajanych smażonych skórek pomarańczowych. Wkońcu dodaje się pianę ubitą z 6 białek i 2 łyżki tartych biszkoptów. Lekko wymięszaną masę wykłada się kopiasto na ogniotrwały półmisek, posypuje grubym cukrem krystalicznym i parzonymi cienko skrajanymi migdałami w dowolnej ilości. Suflet wstawia się do gorącego piecyka na 15 minut i podaje szybko po upieczeniu, gdyż łatwo opada.

BOMBA KAWOWA. 1/4 litra śmietanki, 6 żółtek i 25 dkg cukru, ubija się na parze na gęsty krem, który odstawiony z ognia, ubija się dalej aż do zupełnego ostudzenia. Z 2—3 dkg kawy zaparza się filiżankę bardzo mocnej esencji, którą po ostudzeniu dolewa się po łyżeczce do kremu wśród ciągłego ubijania na lodzie. Wkońcu dodaje się 1/4 litra kremówki ubitej na piankę. Dobrze ubity krem nakłada się do formy bombowej z płaskim spodem i stawia się na lodzie, kręcąc ją od czasu do czasu i zbierając zamrożoną masę drewnianą łopatką do środka, aby się równo zamrażała. Bombę zupełnie zamrożoną pozostawia się w lodzie jeszcze przez 1—2 godzin przed podaniem. Chcąc ją wyłożyć, okłada się ją na moment ściereczką zwilżoną w gorącej wodzie i otwiera ponad półmiskiem, na który się gładko ześlizgnie. Osobno wafle lub biszkopty.

Sc. Ko.



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU

Brudne karty do gry można doprowadzić do ładnego wyglądu przez wytarcie ich czystą szmateczką, zwilżoną w wodzie kolońskiej. Przy pomocy flanelki przywraca się im później połysk.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. | Tydzień 13 | **Marzec** | Dni 31



Niedziela 26 — Emanuela

Zupa z drobiu.Przystawka z mięsa na kruchych łódeczkach.Pularda z kompotem.Bomba kawowa.
Kolacja:Schab wieprzowy z sałatą.

Poniedziałek 27 — Lidii, Ruperta

Zupa jarzynowa purée z grzankami.Kotlety ziemniaczane z sosem śledziowym.Zrazy siekane z kaszą.Kompot.
Kolacja:Leniwe pierogi.

Wtorek 28 — Sykstusa pap.

Zupa fasolkowa z tartem ciastem.Budyń jarzynowy.Pieczeń sarnia z brusznicami.Galaretka pomarańczowa.
Kolacja:Ozorki cielęce w sosie pomidorowym.

☽

Środa 29 — Cyryla, Eustaz.

Zupa z włoskiej kapusty z ryżem.Płatki z grzybami lub szynką.Stek cielęcy z jarzynkami.Tort makowy.
Kolacja:Jaja w śmietanie.

Czwartek 30 — Kwiryna, Owid.

Kapuśniaczek z parówkami.Budyń z sera i grysiku.Polędwica wieprzowa z sałatą.Naleśniki z konfiturami.
Kolacja:Wątróbka po wiedeńsku.

Piątek 31 — Balbiny. 7 b. NPM

Barszcz zabielany z ziemniaczkami.Omlety z grzybami.Linki duszone w śmietanie z makaronem.Pierożki z powidłami.
Kolacja:Sandacz lub dorsz w majonezie.

Kwiecień

Sobota 1 — Hugona bisk.

Rosół z kaszką.Sztuka mięsa zapiekana w sosie cebulowym.Mostek cielęcy nadziewany wątróbką.Kompot mieszany.
Kolacja:Kotlety śledziowe.



Rozwiązanie z Nru 12-go.

NA ŚLUZIE.

W związku ze znanym prawem Archimedesa parcie wody na pale nie uległo zmianie po wjechaniu statku na śluzę.

ANTEK I ZOSIA.

Antek miał 7 zł, a Zosia 3.50 zł.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KURY I JAJA.

Półtorej kury znosi półtora jaja w półtora dnia. Ile jaj zniesie sześć kur w siedem dni?

BABKA.

Na imieniny Zosi mama upiekła babkę i włożyła do ciasta pierścionek, broszkę i pięciozłotówkę. Babkę pokrajano na 12 równych części i podzielono między 12 dzieci. Jeśli założymy, że krajanie babki nie przesunęło pozycji tych trzech przedmiotów, jakie są szanse, że Zosia znajdzie a) przynajmniej jeden z tych podarków w swojej porci babki, lub też b) wszystkie trzy?

NA WSI.

Jan zapytał Grzegorza, ile ma prosiąt. „Oblicz sobie sam" — odparł Grzegorz. „Gdybym miał prosiąt dwa razy więcej, niż obecnie posiadam, plus jeszcze połowę ilości teraz posiadanych prosiąt, plus $2^1/_2$, wówczas miałbym 20 prosiąt". Ile prosiąt miał Grzegorz?

DZIWNE WYMAGANIA.



— Gdybyś był bardziej domyślny, zauważyłbyś, że chcemy być sami...

„Esquire".

PAPIEROSY.

Pan Wróbel zbierał niedopałki papierosów. Obliczył bowiem, że z pięciu niedopałków może mieć nowego papierosa. Czy Czytelnicy mogą obliczyć, ile papierosów otrzyma pan Wróbel ze 125 papierosów?

NA STATKU.

Kiedy parowiec „Złota Rybka" opuścił przystań, na pokładzie było C G E pasażerów, z których F G było dorosłych, a E E dzieci. Wśród tych ostatnich A A chłopców i B B dziewczynek. W następnej miejscowości wsiadło na statek D A nowych pasażerów tak, że obecnie ogólna ilość osób na statku wynosiła F G C. Proponujemy Czytelnikom zastąpić wyżej podane litery cyframi.

NA ZEGARZE.

„Spiesz się" — rzekła wskazówka minutowa do wskazówki godzinowej. „Jeśli się będziesz tak powoli poruszać, to cię dogonię za 2 8/11 minuty".

„Czem się denerwujesz? — odparła wskazówka godzinowa. Przecież i tak wiesz, że poruszam się jak mogę najszybciej — znasz chyba prawo szybkości wskazówki godzinowej? Jeśli wskazówka minutowa mówiła prawdę, to którą godzinę wskazywał zegar?

KSIĄŻKA.

Jeśli w książkce jest 100 kartek, to na której kartce znajduje się strona 49?

Dokończenie ze str. 6-ej.

twarzane między żelaznemi biegunami elektromagnesów. Wiązka promieni katodowych czyli elektronów, przebiegając przez takie pole magnetyczne ulega odchyleniu albo skupieniu w sposób identyczny jak promienie świetlne przez szklaną np. soczewkę. Istnieje jednak zasadnicza różnica w tworzeniu się obrazu w mikroskopie świetlnym, a elektronowym. Podczas gdy w pierwszym wypadku widzimy w oglądanym objekcie rozmieszczenie barw i partyj silniej lub słabiej łamiących światło, to w drugim utworzony na fluoryzującym ekranie obraz daje nam pojęcie o rozmieszczeniu gęstszej lub mniej gęstej masy. Elektrony przechodzą bowiem trudniej przez grubsze czy masywniejsze części a łatwiej przez cienkie i delikatniejsze. Sam przyrząd też nie posiada żadnego podobieństwa do mikroskopu optycznego. Cały aparat wykonany jest z metalu, u góry znajduje się generator promieni katodowych oznaczony cyfrą 1, następnie nieco niżej widzimy soczewki magnetyczne oznaczone cyfrą 2, na samym dole znajduje się ekran fluoryzujący 3, okular przy 5 pozwala na obserwację powiększonego obrazu, w miejscu oznaczonem przez 4 zakłada się mikroskopowy preparat. Wytwarzanie promieni elektronowych odbywa się podobnie jak w lampach radjowych przy pomocy rozżarzonego drucika, który naładowany jest ujemnie do napięcia 100.000 do 200.000 volt. Fig. I ilustruje schematycznie opisany wyżej sposób powstawania promieni elektronowych. Fig. II pokazuje przekrój soczewki magnetycznej oraz sposób tworzenia się obrazu. Przygotowanie preparatu, umieszczenie go na niesłychanie cienkiej warstwie kollodjum (grubości jednej warstwy molekułów) i założenie do wnętrza aparatu wymaga ogromiej wprawy. Poza tem trzeba całą przestrzeń wewnątrz tego skomplikowanego przyrządu jaknajdokładniej wypompować, aby molekuły powietrza nie przeszkadzały należytemu rozchodzeniu się elektronów. Promienie elektronów, biegnące pod wpływem napięcia z szybkością równą połowie szybkości światła, istnieć mogą tylko w próżni, wynoszącej miljonowe części ciśnienia atmosferycznego. Pokonanie tych wszystkich przeszkód wymagało kilkuletniej pracy. Dziś, po zrealizowaniu pierwszej konstrukcji, osiąga się powiększenia ponad 100.000 razy.

Było rzeczą bardzo trudną utrzymać niewahające się napięcie 200.000 Volt między rozżarzonym drucikiem, wysyłającym elektrony a pomocniczą elektrodą oraz uzyskać w magnetycznych soczewkach niezmieniające się nawet w drobnych granicach natężenie prądu. Nawet wpływ ziemskiego magnetyzmu, kóry zaledwie wychyla igłę kompasu, okazał się silnie zakłócającym czynnikiem, jak również najlżejsze wstrząsy mechaniczne. Z tego pobieżnego poniekąd opisu widać, że elektronowy mikroskop nie jest bynajmniej prosty tak w budowie, jak w obsłudze. Wymiarami przewyższa znacznie optyczne aparaty, wymaga całego szeregu pomocniczych urządzeń, jak np. pomp próżniowych, instalacyj elektrycznych o wysokiem napięciu itd.

Ważną przeszkodą będzie tu znaczny koszt związany z nabyciem i instalacją tak precyzyjnego aparatu, sądzić jednak należy, że z czasem w miarę wzrostu produkcji cena stanie się przystępniejsza. Trudno jest przewidzieć, jakie znaczenie będzie miała dla nauki możliwość uzyskania tak ogromnych powiększeń. Już dzisiejsze rezultaty są frapujące: przy obserwacji różnych bakteryj odkryto jakieś maleńkie ciałka znacznie mniejsze od nich samych, a stojące w jakimś niezbadanym jeszcze związku z ich życiem i rozwojem. Zbyt krótko trwają badania przy pomocy elektronowego mikroskopu; cały wysiłek wynalazców zwracał się dotychczas w kierunku jego ulepszenia, można jednak przepowiedzieć tej nowej zdobyczy techniki ogromne znaczenie tak dla medycyny, biologji jak i dla nauk ścisłych. Tak ogromne powiększenia pozwolą nam wejrzeć w świat najdrobniejszych istot, mniejszych od niejednego molekułu organicznego, jak białka czy cellulozy, umożliwią zobaczenie najmniejszych okruszyn materji o wymiarach miljonowych części milimetra. Może przy pomocy tak potężnego przyrządu uda się zbadać wnętrze żywej komórki i tajemnicę żywej materji, która kierowana nieznanemi siłami rozmnaża się i rośnie, tworząc tyle tysięcy gatunków najrozmaitszych istot na kuli ziemskiej.

Łatwiej jest określić znaczenie elektronowego mikroskopu dla techniki. Ułatwi on bowiem wszelkie analizy i przewyższy je znacznie pod względem czułości. Porównanie np. kilku gatunków pozornie identycznych farb przy tak ogromnem powiększeniu okazało ogromną różnorodność w krystalicznej czy bezpostaciowej strukturze. Dla badań nad kolloidami stworzony został tu bardzo celowy i czuły przyrząd, jak również dla analizy rud, cementów itp. Postęp w dziedzinie techniki idzie naprzód tak wielkimi krokami, że lada dzień oczekiwać należy sensacyjnych niemal wiadomości o rezultatach prac nad tym super-mikroskopem.

Inż. J. Sch.

Dokończenie ze str. 29-ej.

kapelusze błękitne i różowe, zielone i bladożółte, „cyclamen" i „violete de Parme", „pigeon" i „bleu turquoise". Dobieramy je kolorem do rękawiczek i bluzki przy ciemnych lub czarnych kostjumach i płaszczach, do torebki i szala przy wiosennych płaszczach popielatych i piaskowych. A jeśli już sam kapelusz pozostaje czarny, granatowy czy brązowy, to przynajmniej szafujemy wszystkiemi kolorami tęczy w jego przybraniu. Kapelusz popielaty przybiera się fiołkami parmeńskiemi i tegoż koloru wualką, brązowy wualką w turkusowe grochy i tejże barwy skrzydełkami lub całymi ptaszkami, czarny pękiem pierwiosnków w różnych kolorach, lub różami „vieux rose", ciemne „lavande" bławatkami w kilku jaśniejszych odcieniach, granatowy różowo-liljową wstążką i wualką etc.

Duże kapelusze, które towarzyszyć będą sukniom imprimées i popołudniowym kompletom odróżniać się będą od zeszłorocznych tem, że albo nie będą mieć wogóle główki, stając się podobne do płaskich talerzy lub kapeluszy chińskich, albo też zadowolą się istną imitacją główki, o obwodzie o pół mniejszym od obwodu normalnej głowy; — oczywiście nie będziemy usiłować wciskać ich na głowę, gdyż byłby to trud daremny.

Jeszcze ciągle możemy nosić śliczne, stylowe „tricorny". Będą one ładnie wyglądać przy czarnych kostjumikach o żakiecie wciętym z silnie z tyłu odstającą baskinką, z szeroką kloszową spódniczką i strojną bluzeczką „lingerie", przybraną falbankami, riuszami i koronkami. Specjalnie też harmonizują stylowo z najmodniejszą dziś fryzurą „à la Dauphin", z włosami związanymi z tyłu czarną aksamitką, z pod której opadają na szyję dwa duże pukle, przypominające ośmnastowieczne „harcopfy".

Lady Like.

IDZIEMY DO TEATRU...

...W WARSZAWIE:

— do **Teatru Nowego**, gdzie grana jest obecnie komedja w 3-ch aktach Noela Covarda p. t. **„Week-end"**, w przekładzie J. Lorentowicz. W sztuce tej triumfuje przedewszystkiem — jak zawołał Boy-Żeleński — „nasza pociecha, Ćwiklińska"!

„Week-end" to jeszcze jedna komedja z serji utworów angielskich, malująca nam obyczajowość brytyjskiego życia rodzinnego, może nie komedja, ale, jak stwierdza Boy, bezpretensjonalny 3-aktowy skecz, „sklecony dosłownie z niczego, pełen ruchu (ze-



Mieczysława Ćwiklińska, niezapomniana Lulu w „Skizie" daje nową kreację w komedji „Week-end".

wnętrznego co prawda) i niespodzianek, których dostarcza zwłaszcza pyszna mama". Właśnie pyszną postać mamy gra niezrównana Ćwiklińska, rozkoszna i humorem swym wprost oszałamiająca widzów i słuchaczy. Obok niej doskonale grają Różycki, Wesołowski, Łuszczewski, Lubieńska, Wierzejska, Gryf - Olszewska i Świerszczewska. Przygotował komedję reżyserskо K. Borowski.



Ewa Bonacka i Marjusz Maszyński w komedji Szaniawskiego „Dziewczyna z lasu", granej przez Teatr Ateneum w Warszawie.

...W POZNANIU:

— do **Teatru Polskiego**, gdzie grane są obecnie dwie nowości polskie czołowych współczesnych dramatopisarzy: Jarosława Iwaszkiewicza **„Lato w Nohant"** i Jerzego Szaniawskiego **„Dziewczyna z lasu"**. — „Dziewczyna z lasu", niezwykle subtelna, głęboko psychologiczna sztuka J. Szaniawskiego, stała się wielkim sukcesem artystycznym Teatru Ateneum w Warszawie, gdzie znalazła wybornych wykonawców w osobach Bonackiej, Maszyńskiego, Chmielewskiego, Jaracza i Kalinowicza. Ze sztuką tą Jaracz wyjedzie na tournee artystyczne po Polsce. Obecnie „Dziewczyna z lasu" weszła na repertuar Teatru Polskiego w Poznaniu, gdzie rolę tytułową doskonale odtwarza K. Szyszko-Bohusz. **(b)**

TO CO NAJCELNIEJSZE

W TYM TYGODNIU PRZECZYTAMY:

Ukazała się już w drugiem wydaniu Kazimiery Iłłakowiczówny „Ścieżka obok drogi", która, jak wiadomo, wywołała tak namiętną dyskusję i polemikę, a świeżo spotkała się nawet z oficjalną wypowiedzią dyr. W. Lipińskiego, negującego tej książce historycznych wartości.

Niemniej jednak stwierdzić należy, że „Ścieżka obok drogi" — to jedna z najoryginalniejszych pozycyj współczesnej literatury polskiej, książka niezwykle trudna do objektywnej oceny, mogąca wywołać wiele nieporozumień. Jest to, mimo pewnych tonów afektacji i pretensjonalności, bardzo szczery i piękny pamiętnik liryczny poetki, ciekawie i wielostronnie odsłaniający jej duszę i wydobywający na jaw jej głęboki, żarliwy kult dla wielkości Marszałka Piłsudskiego, z którym niejednokrotnie zetknęło ją przeznaczenie. Wielkość Piłsudskiego w spojrzeniu i w odczuciu Iłłakowiczówny — polega nie tylko na jego historycznych czynach, a-le także tkwi w jego nawskroś ludzkich cechach, głównie — prostocie i dobroci. — Spostrzeżenie piękne i prawdziwe.

Zapewne że historyk w pamiętniku lirycznym Iłłakowiczówny niewiele znajdzie materjału do nakreślenia dziejów Polski i Marsz. Piłsudskiego, ale każdy czytelnik znajdzie w tej książce dokument uczuć, jakie żywiło dla genjuszu Piłsudskiego społeczeństwo jemu współczesne, znajdzie dokument przeobrażeń uczuciowych i kultu wielu, wielu tysięcy, których wyrazem są wyznania jednej z owych tysięcy. — „Ścieżkę obok drogi" Iłłakowiczówny (wydaną bardzo starannie pod względem graficznym przez „Rój") należy czytać i rozpowszechniać.

* * *





Okładka E. Mantsuffla do książki Z. Czermańskiego: „W pluszowej ramie". Obok: rysunek Z. Czermańskiego z jego książki.

Zasłużenie ceniony, świetny rysownik Zdzisław Czermański, debjutuje obecnie jako prozaik. Fragmenty pamiętnika, czy powieści pt.: „W pluszowej ramie", (wydanej przez Gebethnera i Wolfa z 11-ma ilustracjami autora), drukowane były w „Wiadomościach Literackich" i już wówczas zwróciły uwagę na wyborną umiejętność wyrażania przez artystę i w beletrystycznej formie podpatrzonych przez niego cech fizycznych i psychicznych otoczenia. Jednak dopiero całość książkowa umożliwia poznanie wielostronności i jakości talentu Czermańskiego.

„W pluszowej ramie" rozpada się jakby na dwie części, nie tylko ze względu na „czasokres" akcji, wskrzeszającej epokę przedwojennej, krakowskiej małomieszczańskiej secesji i lwowskich ruchów artystycznych, oraz dającej obraz dzisiejszego życia, ale także z powodu odmiennego podejścia do tematu. Wraz z dojrzewaniem bohatera opowieści (w którym chyba nie należy tu w stu procentach doszukiwać się autora, choć niewątpliwie bohater zawiera wiele rysów autobiograficznych), zmienia się również jego bystro spostrzegawczy stosunek do otoczenia. Początkowo przeważają spostrzeżenia powierzchowne, odtworzone jednak przez Czermańskiego z świetnym realizmem, następnie jednak coraz bardziej do głosu dochodzi wnętrze postaci, wciągniętych w akcję. Tu, w drugiej części książki, spotykamy wiele „chwytów" jakby proustowskich. Czermański książką swą dokumentuje, że jest kapitalnym humorystą także i w prozie, że ma świeże, dogłębne widzenie rzeczywistości, z której umie wybrać momenty najcharakterystyczniejsze dla naturalnego, artystycznego wyrażenia spostrzeżeń i odczuć. Styl autora jest miły i poprawny.

* * *

Nakładem wydawnictwa J. Przeworskiego ukazała się nowa książka Stefana Zweiga p. t. „Gwiazdy ludzkości" (przekład Z. Petersowej). Książka ta uwiecznia chwile, w których „wieczyste losy sprowadzają się do jednej jedynej daty, do jednej jedynej godziny, a nawet do jednej jedynej minuty"... uwiecznia także „rzadkie w życiu jednostki, rzadkie też w przebiegu historji"... Największe dzieła genjuszu ludzkiego powstają w chwilach natchnienia. Jedno „tak", jedno „nie", jedno „zawcześnie" lub „zapóźno" — decyduje jakże często o życiu jednostki, narodu, a czasem całej ludzkości. **(swb).**



Okładka książki Kazimiery Iłłakowiczówny „Ścieżka obok drogi".

NA POLSKIEJ ANTENIE:



Karol Szymanowski, według portretu Maji Berezowskiej.

Drugą rocznicę śmierci genjalnego kompozytora Karola Szymanowskiego czci Polskie Radjo dwiema audycjami: Dnia 28 b. m. o godz. 21.00 nadany zostanie uroczysty koncert utworów Szymanowskiego w wyk. orkiestry i chóru Polskiego Radja pod dyr. G. Fitelberga z udziałem Anthei van Weck (sopr.) i E. Umińskiej (skrzypce). W programie III Symfonja, Koncert Skrzypcowy i „Mandragora", muzyka do pantominy z komedji Moliera „Mieszczanin szlachcicem". Druga audycja nadana będzie dnia 29 b. r. o godz. 21.30. Usłyszymy wtedy fragment nieznanej powieści K. Szymanowskiego, o której słowo wstępne powie J. Iwaszkiewicz.

Muzyka

od 26 marca do 1 kwietnia b. r.

W programach muzycznych nadchodzącego tygodnia jedno z czołowych miejsc zajmuje wielki koncert muzyki polskiej, który nadany będzie **w niedzielę** 26 marca o godz. 19.30 po przemówieniu P. Prezydenta R. P. prof. Ignacego Mościckiego. Uroczystość transmitowana będzie w całości do Nowego Jorku z okazji otwarcia wystawy światowej. W koncercie biorą udział orkiestra i chór P. R. pod dyr. G. Fitelberga z udz. E. Bandrowskiej-Turskiej i E. Umińskiej. — We **środę** 29 marca o godz. 21.00 koncert chopinowski w wykonaniu H. Sztompki. — We **czwartek** 30 marca o godz. 16.40 recital organowy Gerharda Bremstellera, transmitowany z kościoła OO. Jezuitów w Krakowie, zaś o godz. 23.05 usłyszymy nową suitę na orkiestrę Romana Palestra w wykonaniu orkiestry symfonicznej Pol. Radja. — W **sobotę**, dnia 1 kwietnia o godzinie 16.35 usłyszymy motety jednego z najwybitniejszych kompozytorów z XVI w. Orlando di Lasso.

Literatura

od 26 marca do 1 kwietnia b. r.

Teatr Wyobraźni nada we **czwartek**, dnia 30 marca wesoły skecz radjowy duńskiego autora L. Fischera pt. „Mord za kulisami"; zaś w **piątek**, dnia 31 marca komedję A. Fredry „Nikt mnie nie zna" w oprac. K. Szuberta z przedmową A. Grzymały-Siedleckiego.

Z odczytów literackich na specjalną uwagę zasługują: we **wtorek** 28 marca o godzinie 22.00 „Rzeźba hellenistyczna", audycja prof. dr. Witwickiego; we **środę** 29 marca o godz. 22.05 „Średniowiecze a nauki ścisłe", odczyt prof. dr. W. Wilkosza, oraz we **czwartek** 30 marca o godz. 22.05 „Łzy nieba" szkic literacki Z. Starowieyskiej - Morstinowej.



Prof. Władysław Witwicki.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pismem nie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1